



INNA EUROPA INNA LITERATURA

Taras Prochaśko **NIEZWYKLI**



Seria INNA EUROPA INNA LITERATURA to egzotyczna podróż po nieznannej Europie; to literackie safari po krainach, o których prawie nic nie wiadomo.

Seria INNA EUROPA INNA LITERATURA jest kontynuacją programu realizowanego od początku istnienia Wydawnictwa Czarne: prezentować literaturę światłą, choć rzadko na polskim rynku obecną. Taką, która daje czytelnikowi ekscytujące poczucie odkrywania nowych, nieznanych, choć geograficznie nieodległych lądów.

W serii ukaze się m.in.:

Dubravka Ugresic

FORSOWANIE POWIEŚCI-RZEKI



NIEZWYKLI



Taras Prochaśko

NIEZWYKLI

Przełożyła

Renata Rusnak



Wołowiec 2005

Tytuł oryginału ukraińskiego NEPROSTI

Projekt okładki i stron tytułowych KAMIL TARGOSZ

Na okładce wykorzystano obraz KAMILA TARGOSZA, namalowany na
podstawie fragmentu tryptyku HIERONIMA BOSCHA

Kuszenie świętego Antoniego

Zdjęcie Autora na IV stronie okładki © by KAMIL GUBAŁA

Copyright © by TARAS PROCHAŃSKO, 2002

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO CZARNE, 2005

Copyright © for the Polish translation by RENATA RUSNAK, 2005

Redakcja i korekta FILIP MODRZEJEWSKI

Projekt typograficzny i łamanie ROBERT OLEŚ



Kultura 2000

Książka została wydana dzięki pomocy finansowej
programu Unii Europejskiej Kultura 2000.

The book was published with the support of the
Culture 2000 programme of the European Union.

ISBN 83-89755-19-X

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM PIERWSZYCH PRZYPADKOWYCH ZDAŃ

1. Jesienią 1951 roku wędrówka na zachód nie była by niczym wyjątkowym — wtedy nawet wschód zaczął się powoli przemieszczać w tamtym kierunku. Jednakże w listopadzie pięćdziesiątego pierwszego Sebastian z Anną ruszyli z Mokrej na wschód, którego wciąż przybywało. Ściślej — na wschodnie południe czy też na południowy wschód.

2. Wyprawę odwlekali przez tyle lat bynajmniej nie z powodu wojny — ta w niewielkim stopniu mogła coś zmienić w ich życiu. Sebastian zdecydował się zerwać z tradycją, zgodnie z którą dzieci po ukończeniu piętnastego roku życia miały zostać oprowadzone po miejscach związanych z historią rodzinną. Bo kiedy Anna skończyła piętnaście lat, Sebastian uświadomił sobie, że wszystko się powtarza, że jest to jedyna kobieta na świecie, z którą może żyć. Że nie tylko może być wyłącznie z nią, ale że już nie może być bez niej. Tymczasem w Jałowcu — do którego tradycyjnie

należało zaprowadzić Annę — czekali Niezwykli. Sebastian wiedział, że bez trudu przekonają córkę, by z nimi została.

Zresztą to, że Anna też będzie niezwykłą, założyli już podczas jej porodu.

3. W kwietniu pięćdziesiątego pierwszego Anna poczuła, że jej tata Sebastian jest jedynym mężczyzną, z którym może być, i zaczęli się kochać.

Tej wiosny wiele osób chodziło najdziwniejszymi trasami i roznosiło niewiarygodne wieści. W ten sposób Sebastian dowiedział się, że z Jałowca zniknęli Niezwykli. Od tej pory nikt więcej o nich nie słyszał.

Całe lato Sebastian z Anną kochali się nieprzypadkowo, a obok nich przeszło kilka różnych wojsk. Nic nie stało na przeszkodzie, by pójść na wschód, na południe czy na południowy wschód. Kiedy zrobiło się naprawdę zimno i drogi mocniej wcisnęły się w swoje linie, ruszyli wreszcie z Mokrej; po kilku dniach powinni już być w Jałowcu. Podróż jednak przedłużyła się o trzy lata. Sebastian niczego się nie bał — znów był z prawdziwą kobietą. Tego samego gatunku, co zawsze.

4. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak miałby córce wszystkie te miejsca w górach — od Mokrej do Jałowca — pokazać takimi, jakimi są naprawdę. Zamiast czterech dni podróż powinna trwać cztery pory roku. W ten i tylko w ten sposób, i jeszcze w dzień, i w nocy, rano i wieczorem, Anna mogłaby zrozumieć, jak za-

razem odmienny jest ten szlak. Sebastian patrzył na mapę, czytał na głos nazwy i już samo to sprawiało, że czuł się szczęśliwy.

Nie zasmucało go nawet to, że Annie mapa absolutnie nic nie mówiła.

Co prawda niepokoiły go trochę drzewa, których od tylu lat nie widział; ich rozrastanie się jest najczęstszą przyczyną zaskakującej nierozpoznawalności miejsc. I najważniejszym dowodem na konieczność niepozostawiania bliskich drzew samym sobie.

Co do samej trasy, żadna podróż i tak nie wie, jak się potoczy, nie może znać swoich rzeczywistych przyczyn i skutków.

5. Kiedyś Franc mówił Sebastianowi, że są na świecie rzeczy o wiele ważniejsze od tego, co nazywamy przeznaczeniem. Franc miał na myśli przede wszystkim miejsca. Jest miejsce — jest historia (jeśli więc historia się plecie, znaczy to, że musi istnieć właściwe dla niej miejsce). Znaleźć miejsce to zapoczątkować historię. Wymyślić miejsce to znaleźć wątek. Wątki są zresztą ważniejsze od przeznaczenia. Są miejsca, do których niepodobna cokolwiek dopowiedzieć; niekiedy wystarczy przemówić samymi tylko nazwami w prawidłowej kolejności, by na zawsze zawładnąć najciekawszą historią, która będzie silniej nawet oddziaływać niż biografia. Toponimika potrafi wywieść nas na manowce, ale może być i tak, że tylko ona będzie dostępna.

6. I coś takiego przydarzyło się Sebastianowi. Odkrył dla siebie — wymyślony przez Franca — Jałowiec. Oczarowała go lingwistyka. Toponimika go zauroczyła; nie on zauroczył się jej nurtami.

Pleska, Opresa, Tempa, Apeska, Pidpuła, Sebastian, Szesa, Szesul, Menczuł, Biłyn, Dumeń, Pietros, Sebastian.

Nie istniały jeszcze żadne góry, kiedy ich nazwy były gotowe. Tak samo jak z jego kobietami — nie było ich na świecie, gdy jego krew zaczęła mieszać się z tą, która miała się stać ich krwią.

Odtąd chodziło mu wyłącznie o trzymanie się tej ograniczonej toponimiki oraz skróconej genetyki.

7. Franciszek spotkał Sebastiana na skale za Jałowcem. Sebastian wrócił z Afryki i strzelał do ptaków. Karabin snajperski nie dawał odczuć zabójstwa. Przez lunetę widać tylko kadr. Strzał nie przerywa wątku, a wnosi w scenariusz nową scenę. Dlatego zastrześlił sporo różnych drobnych ptaków, które leciały nad Jałowcem akurat do Afryki.

Wkrótce miała nadejść zima. Zima musi coś zmienić. Zima przynosi finał — to jej główna właściwość. Zamyka otwartość lata, i choćby to musi się w coś przerodzić.

Franciszek szukał czegoś, z czego można by zrobić kolejny film animowany. I nagle, tuż przed zimą, skała nad mostem, środek miasta, nad górą stado ptaków lecących do Afryki, Azji Mniejszej, tam, gdzie pola szafranu, aloesu i hibiskusa między gigantyczną szyp-

szyną tuż nad długim Nilem, kilka trafionych w oko różnokolorowych ptaków, złożonych jeden na drugim, przez co kolory jeszcze bardziej kontrastują, w każdym prawym oku odbicie międzykontynentalnego szlaku, w każdym lewym czerwona plama, żadne piórko nie uszkodzone, lekki wiatr zgarnia puch z jednego nieważkiego ciała na widmowy puch drugiego, i oko strzelca po drugiej stronie lunety. I strzelec. Czerwony biały Afrykańczyk.

8. Sebastian zmarł w dłonie. Odmroził je podczas nocy na Saharze. Od tamtej pory ręce nie cierpiały rękawic. Sebastian powiedział do Franca: — A co mają robić pianiści, kiedy jest tak zimno?

Patrzyli we wszystkie strony i wszędzie było pięknie. Była jesień, i jesień przechodziła w zimę. Franc nazywał góry, nie wskazując nawet, która jest która. Potem zaprosił go do siebie. Od dawna już nie miał gości — od dawna nie spotkał na skałach nikogo nieznanego. Chyba właśnie wtedy po raz pierwszy pili kawę z sokiem grejpfrutowym. Kiedy Anna przyniosła im dzbanek na oszkloną galerię, gdzie w żeliwnym piecyku płonęły obcięte pędy winorośli, Sebastian poprosił, żeby została na chwilę i powiedziała, co widać przez okno. Anna powtórzyła — Pleskę, Opresę, Tempę, Pidpułę, Szesę, Szesul, Menczuł, Biłyn, Dumień, Pietros.

Była późna jesień 1913 roku. Franc powiedział, że rzeczy są o wiele ważniejsze od tego, co nazywamy przeznaczeniem. Zaproponował, by Sebastian po-

mieszkał trochę w Jałowcu. Ściemniało się i Anna, zanim przyniosła drugi dzbanek — prawie sam sok, kawy kilka kropli — poszła pościelić mu łóżko; wciąż nie umiała tego robić po omacku.

CHRONOLOGICZNIE

1. Jesienią 1913 roku Sebastian został w Jałowcu. Miał wtedy dwadzieścia lat. Urodził się po drugiej stronie Karpat — na Borżawie — w 1893. W 1909 w Trieście miesiąc pomieszkał z rodzicami, a rok później pojechał walczyć do Afryki. Do domu wracał przez Morze Czarne i Konstancę, dalej przez Góry Rodniańskie, Hryniawę i Popa Iwana. Przeszedł Czarnohorę, minąwszy Howerlę i Pietrosa. Była późna jesień 1913 roku.

2. Jałowiec powstał dwadzieścia pięć lat wcześniej.

Miejsce to wymyślił Franciszek, którego częściej nazywano Francem. Przez dwadzieścia lat Franciszek mieszkał w miastach — we Lwowie, Stanisławowie, Wyżnicy, Munkaczu. Uczył się rysunku tylko u jednego grafika (ten pracował kiedyś z Brehmem, a potem wyrabiał i podrabiał pieczętki) i musiał, i chciał, i mógł przenosić się za nim z miejsca na miejsce. Ktoś pokazał mu aparat fotograficzny i Franc przestał rysować. Jednak trochę później, tuż za Morszynem,

ilustrator zmarł, oprowadzając krakowskiego profesora botaniki — jechali w Czarnohorę opisywać roślinność Huculszczyzny. W Stanisławowie profesor natknął się na Franca, a kilka dni potem Franc zobaczył miejsce, w którym poczuł się u siebie — naturalnie i szczęśliwie. Rok później Franciszek wrócił tam i zaczął budować miasteczko.

Pięć lat później Jałowiec stał się najdziwniejszym i wcale modnym kurortem w Europie Środkowej.

3. Anna, dla której Sebastian został w Jałowcu, najpierw nazywała się Stefania. Prawdziwą Anną była jej mama — żona Franciszka. Leczyła się z lęku wysokości, bo była alpinistką. Przyjechała do kurortu razem z przyjacielem — speleologiem. Byli najlepsi na świecie w jednym i tym samym; ona wspinała się w górę, a on schodził w dół; obojgu najbardziej brakowało przestrzeni. Kiedy Anna zaszła w ciążę z Franciszkiem, zdecydowała się urodzić dziecko tu, w Jałowcu. A kiedy urodziła się Stefania, Anna już nigdzie nie chciała wracać.

Zginęła w pojedynku, na który wyzwiał ją mąż. Franciszek od razu nazwał Stefanię Anną. Sam wychowywał córkę aż do dnia, w którym zaprosił do domu Sebastiana wracającego z Afryki na Borżawę. Wtedy Franciszek zrozumiał, że od tej pory Anna albo będzie słuchać innego mężczyzny, albo nikogo.

LISTY DO I OD BEDY

1. Jedynym człowiekiem, który znał ich wszystkich przez te kilka dziesięcioleci, był stary Beda. Mówiło się, że jest z Niezwykłych. Prawda to lub nie, ale Beda znał się z nimi. Kiedy Franc nauczył Annę czytać i pisać — przez dłuższy czas nie chciał, żeby potrafiła, bo rozumiał, że Anna nie będzie pisać, a zapisywać, i nie czytać, a czytać w kółko, a to Francowi wydawało się zbędne — ta zapagnęła dowiedzieć się czegoś więcej o początkach Jałowca i o mamie. O czymś takim mógł wiedzieć tylko stary Beda i Anna pisała do niego listy z pytaniami. Odpowiedzi przychodziły albo bardzo szybko, albo szły tak długo, że wydawało się, że adres był niewłaściwy (taki, pod którym nie mieszkał nikt, kto mógłby przynajmniej odpisać, że Bedy nigdy tam nie było).

Akurat wtedy Beda zaczął mieszkać w opancerzonym wozie, przenosząc się z miejsca na miejsce, nie przecinając jednak granic pewnego koła, którego środek stanowił Jałowiec. Kiedyś Beda opowiedział pewną historię.

2. Po tym jak przemieszkał w swoim „pancerniku” okrągły rok, sądził, że do końca życia nie zapomni ani jednego drobnego szczegółu. Potem pancernik najechał na minę, o której zapomnieli Włosi budujący tunel na Przełęczy Jabłonickiej. Beda omal nie zginął. Zabrali go jacyś Huculi. Ciało miał całe pokiereszowane, i to nie jak nożem, szablą czy siekierą, a tak, jakby pootwieraały się szpary w ziemi. Wrzucili go do beczki z miodem i poili kozim mlekiem, skwaśniałym w grzonym winie. A pancernik zaczęli naprawiać cygańscy skrzypkowie. Po dziewięciu miesiącach Beda wyszedł z miodu. Pancernik znajdował się w sadzie i dzieci, stając na nim, strząsały jesienne jabłka. Chyba antonówki. Tak więc Beda sądził, że zapamiętał swój wóz na zawsze. Wdrapał się ciężko po drabinie do włazu i zrozumiał, że nie pamięta, jak po niej wchodził dziewięć miesięcy wcześniej. Zamknął oczy i nie mógł sobie wyobrazić, co jest tam, gdzie wszystko było takie znajome. Uspokajał się tym, że jego skóra zrobiła się inna. Albo tym, że podczas naprawy skrzypkowie usunęli jakieś drobiazgi. Nie mógł się jednak uspokoić. Tak pisał stary Beda.

Anna wysyłała mu listy z pytaniami o swoją rodzinę. Odpisywał, odpowiadając na pytania, i zawsze dodawał coś o sobie; choć o to nie prosiła, czytała z zaciekawieniem.

3. Niektóre listy Anny wyglądały jakoś tak.
...nie proszę, żebyś opowiadał wszystko...

...ja też chcę ci opowiedzieć dużo różnych rzeczy o Jałowcu, Franciszku, mamie, Niezwykłych. Ale jesteś jeden na całym świecie, który znał ich wszystkich...

...sama nie wiem po co mi to, ale czuję ich, a nie słyszę ich głosów. Czuję swoje ciało, zaczynam myśleć tak jak ono. Nagle zaczynam rozumieć, że nie jestem niezależna. Zależę od nich wszystkich, bo nimi wszystkimi myśli moje ciało...

...nie czuję się źle z powodu takiej zależności, ale chcę wiedzieć — co jest we mnie czyje: co jest Franca, co mamy, co Niezwykłych, co Jałowca, a co moje...

...wahanie — to coś więcej niż błąd...

...powiedz coś jeszcze...

...opowiadaj dalej...

...jak dawniej wyglądał Jałowiec...

...ja tak mawiam: bardzo tak cię kocham, jest i jest... wiem, że mama pojawiła się już wtedy, kiedy Jałowiec zrobił się modny. Drugiego takiego kurortu nie było na świecie...

...o wszystkich naszych poprzednich tato zawsze mówił z „może”...

4. Stary Beda odpisywał. (Gdybym pamiętał wszystko, co mówili, o czym rozmawialiśmy. Choćby bez tego, co sam opowiadałem. I gdyby mi wtedy opowiadali wszystko to, o czym mówili beze mnie. Ale i oni też niewiele pamiętali, poza kilkoma zdaniami. Jeśli nie pamiętasz, jak mówiłeś, jak do ciebie mówiono, to nikogo nie będzie. Nie usłyszysz głosów. Trzeba słyszeć głosy. Głos jest żywy, głos ożywia. Głos

jest silniejszy od obrazu. Franc mi mówił, że są rzeczy o wiele ważniejsze od przeznaczenia. Powiedzmy — intonacja, składnia. Jeśli chcesz pozostać sobą, nigdy nie odrzucaj własnej intonacji. Franc całą wojnę mówił tym samym głosem co zawsze. Nie mogę drugi raz rozmawiać z tobą tylko o tym. Nie mogę opowiedzieć ci wszystkiego, co chcesz usłyszeć. Mogę mówić. I wtedy możesz usłyszeć to, co chcesz. A na odwrót — nie. Ale i ty nie zapamiętasz wszystkiego. Powiedziane mija. Dobrze nam teraz, bo dobrze się nam gada. Podoba mi się słuchanie siebie mówiącego do ciebie. W twojej rodzinie nikt nie uznawał ogólnie przyjętej składni. Wiesz, jakie są wasze rodzinne powiedzonka — jest i jest, trzeba i trzeba, nieodpowiednia kolejność gęsta, bardzo tak cię kocham... Wahanie to więcej niż błąd, albo i mniej. Ale na dłużej. Mówią, że twój dziadek — tato mamy, nietutejszy, gdzieś z Szarysza — miał maleńki ogród. Marzył, by mieszkać w nim do starości. Wylegiwać się na swoich leżakach ze ślimaczych muszli, palić opium i bosą nogą turlać szklane kule. Ogrodził murem niewielki kawałek ziemi, obsiał go znakomitą drobną trawą jednoroczną. Na środku wkopał straszliwie wysoki słup i puścił po nim bluszcz, fasolę i dzikie wino. Obok wykopał dziurę i wypełnił po brzegi muszlami ślimaków. Mówiło się, że coś podobnego widział za wysokim murem na Hradczanach, kiedy zabłądził i wszedł na czereśnię, żeby się zorientować, jak ma iść dalej. Na tym leżaku leżał, kiedy palił. Głowę kładł na wielkim płaskim kamieniu całym w porostach. Chodził w Tat-

ry Bielskie, zbierał jakieś zarodniki i zarządzał czy zapładniał nimi kamień. Sam wydymuchał szklane kule, wewnątrz których były żywe cyklameny. Kule można było popychać; toczyły się, cyklameny się przewracały i po jakimś czasie zaczynały wykrzywiać się, kierować dołem ku ziemi, a górą ku słońcu. Ogród zniszczono, kiedy mama była jeszcze mała i dziadek uciekł z nią i resztą dzieci w góry. Franc też jest nietutejszy. Nikt ci nie powie, skąd przyszedł, skąd się wywodzi wasz ród. Zapragnął żyć w Jałowcu, bo liczył, że tam nie będzie żadnych wrażeń, nie będą się wydarzać żadne historie. Chciał, żeby wokół nie zdarzało się nic, za czym nie można nadążyć. Nic, co trzeba byłoby zapamiętywać. Był jeszcze bardzo młody. Nie wiedział, że tak nie bywa — to po pierwsze — życie wiruje wszędzie, nawet jeśli powoli, jednostajnie, to niepowstrzymanie, niepowtarzalnie i nieskończenie. A po drugie, i tak niczego nie musi się zapamiętywać, zatrzymywać na siłę. To, co ma zostać, samo wychodzi ci na spotkanie i wrasta. Taka tam botaniczna geografia — skończona radość wrastania. Wiem, że pierwsza Anna pojawiła się wtedy, kiedy Jałowiec był już modny. Zewsząd zjeżdżali pacjenci, żeby pić gin. Miasteczko wyglądało jak teraz, tylko nie było tego, co sama wymyśliłaś. Zbudowano małe hoteliki, pensjonaty z barami. Można było pić w pojedynkę w pokoju, w parach, w towarzystwie, trzy razy dziennie, na czczo i na noc, albo całą noc, albo budzono cię w środku nocy i podawano dawkę do łóżka. Można było spać tam, gdzie piłeś, albo wypić z lekarzem czy psychoterapeutą. Ja lubi-

łem upijać się na huśtawce. Anna bardzo dobrze wspinała się po skałach. Wyczuwała wagę każdego kawałka własnego ciała i potrafiła rozłożyć je równomiernie na pionowej ścianie. Tam na nic nie trzeba patrzeć w kategoriach wielkości. I najważniejsze — zawsze jesteś z liną. Myślała, że wszystko jest jej obojętne, a tymczasem zaczęła się bać. Zaczęła przyjeżdżać do Jałowca po tym, jak się mocno potłukła. Bo znowu mogła się wspinać, ale teraz się bała. Nie umiała tego dobrze wyjaśnić, bo prawie nie potrafiła mówić, choć myślała każdym milimetrem ciała. Franc był wtedy dwa razy większy niż teraz — możesz sobie wyobrazić, co czuli. Franc nigdy nikomu tego nie opowiadał. Ale wiem, że najlepiej im było, kiedy Anna zaszła w ciążę. I było to nie z jakimś „może”. Z jakiegoś powodu uważa się, że końcem wątku jest śmierć. W rzeczywistości wątki kończą się wtedy, kiedy ktoś się rodzi. Nie obraż się, ale gdy się urodziłaś, skończyła się historia Franca i twojej mamy...).

Annie bardzo podobało się to, co Beda pisał na opakowaniach po herbacie, wciąż pachnących różnymi owocami.

GENETYCZNIE

1. Franciszek uważał się za człowieka powierzchownego. Lubił powierzchownie. Czuł się na nich pewnie. Nie wiedział, czy jest sens wchodzenia głębiej, niż widzi oko. Choć zawsze przysłuchiwał się temu, co pobrzmiwało zza wszelkich błon. I wwąchał się w strumienie, wydzierające się z porów skóry. Obserwował każdy ruch, ale patrząc na kogoś, nie próbował wyobrazić sobie, co ten ktoś myśli. Nie potrafił dotrzeć do sedna, bo przesyt zewnętrznych szczegółów dawał wystarczająco dużo odpowiedzi. Nieraz zauważał, że całkowicie zadawała się takim wyjaśnieniem zjawisk, które daje się zobaczyć, bez potrzeby uciekania się do wiedzy o głębokich związkach między rzeczami. Najczęściej korzystał z najprostszej figury myślenia — analogii. Przeważnie myślał o tym, co jest do czego podobne. Dokładniej — co przypomina co. Wtedy mieszał kształty ze smakami, dźwięki z zapachami, rysy z dotykiem, odczuwanie organów wewnętrznych z ciepłem i zimnem.

2. Jedno filozoficzne zagadnienie naprawdę go interesowało.

Franc rozmyślał nad redukcją. Dostrzegał, jak ogromne ludzkie życie, nieskończoność wypełnionych nieskończonością sekund, może z czasem zredukować się do kilku słów, którymi powiedziano o człowieku wszystko — na przykład w encyklopedii (spośród wszystkich książek Franc uznawał tylko encyklopedię Larousse’a, jego biblioteka składała się z kilkunastu dostępnych larousse’owskich wydań).

Jedną z jego rozrywek było ciągle układanie haseł złożonych z kilku słów czy zdań w stylu Larousse’a — o każdym, kogo znał czy spotykał. Hasła o sobie nawet zapisywał. Przez te wszystkie lata nazbierało się ich kilkaset, i choć każde zawierało w sobie coś, co różniło je od innych, to jego — nawet nie zakończone — życie mieściło się w kilkudziesięciu starannie uporządkowanych słowach. Fascynowało to Franca i nie przestając zadziwiać, napawało nadzieją, że żyje całkiem odpowiednio.

3. Jeszcze jednym dowodem na powierzchowność Franciszka było to, że niczego nie wiedział o swoich przodkach. Nawet o tacie i mamie wiedział tylko tyle, ile zobaczył w dzieciństwie. Z jakiegoś powodu rodzice ani razu nie rozmawiali z nim o przeszłości, a on nigdy nie wpadł na to, by ich o coś spytać. Przez całe dzieciństwo malował w samotności wszystko, na co patrzył. Nie był przy śmierci rodziców; miał już wtedy

nauczyciela w innym mieście. W końcu do niego dotarło, że nigdy, nawet w pierwszych latach życia, nie namalował ani mamy, ani taty. Ich redukcja była niemal absolutna.

Może właśnie strach przed przedłużeniem owej pustki kazał mu opowiadać córce jak najwięcej o sobie. Nawet stwarzanie świata starał się jej wyłożyć w taki sposób, żeby zawsze pamiętała, co o tym czy tamtym pierwszy raz powiedział tato.

Choć o jej mamie, jego Annie, też wiedział tylko tyle, ile razem przeżyli — nieco ponad dwa lata. Tego jednak wystarczyło, by dziewczynka wiedziała, co powinna wiedzieć.

W ciągu całego swojego życia, poza kilkoma ostatnimi miesiącami, Anna ani jednego dnia nie spędziła bez ojca. Nawet wtedy, kiedy została kobietą Sebastiana.

4. We wrześniu 1914 roku na ochotnika wstąpiła do wojska i po kilku tygodniach ćwiczeń trafiła na front w Galicji Wschodniej. Sebastian został sam z Franciszkiem w domu nieopodal głównej uliczki Jałowca. Z frontu nie nadchodziły żadne wieści. Aż wiosną 1915 do miasta przybył kurier i przekazał Sebastianowi (dzień wcześniej Francowi obcięto głowę, a najutrz miał się odbyć jego pogrzeb) niemowlę — córkę bohaterskiej ochotniczki Anny Jałowieckiej. Sebastian nigdy się nie dowiedział, kiedy dziecko się urodziło i co robiła ciężarna Anna w najstraszniejszych bitwach wojny światowej. Był jednak pewien — to jego

córka. Nazwał ją Anną, a ściślej, drugą Anną (już po jej śmierci często mówił w skrócie Druga).

5. Druga Anna coraz bardziej stawiała się podobna do pierwszej. Czy one obie naprawdę były podobne do najpierwszej — mógł wiedzieć tylko stary Beda. Co do samego Sebastiana — ten nauczył się codziennie porównywać siebie z Franciszkiem.

Sam wychowywał swoją Annę, nie dopuszczając do niej żadnych kobiet. W końcu osiemnastoletnia Anna wybrała mężczyznę. Był nim oczywiście Sebastian.

6. Tym razem nie było nic, czego nie wiedziałby o ciąży swojej kobiety. Zresztą, tylko on był obecny przy narodzinach swej córki i — zarazem — wnuczki. I widział, jak narodziny stają się jednocześnie końcem. Bo dając początek nowemu wątkowi, jego najdroższa Anna zmarła tuż przed tym, jak trzecia znalazła się w jego rękach.

Gdzieś w przepełnionym goryczą środku Sebastian poczuł szalone skręcanie i prostowanie się podziemnych wód, rysowanie i wymazywanie światów, przemianę ostatnich dwudziestu lat w nasiono. Przemknęła mu myśl, że nie trzeba żadnych Niezwykłych, żeby się domyślić, że coś takiego już go kiedyś spotkało i że z nowo narodzoną kobietą dożyje podobnego końca. Że nie chodzi o niezwykłą krew kobiet z tej rodziny, a o jego niepowstrzymaną siłę wlewania się w nią. Że to nie one muszą umierać w młodości, a on nie ma prawa widzieć ich inaczej niż jedną naraz.

7. Sebastian wyszedł na werandę. Niezwykli przyszli pewnie już wcześniej, ale siedzieli cicho na ławkach, czekając na koniec porodu.

Na kolację Sebastian ustrzelił ze sto drożdów, które dopiero co obskubały wszystkie owoce z młodej aroinii. Usunąwszy tylko piórka i natarłszy ptaki szafranem, upiekł je w całości.

Dwie kobiety — od wróżenia i od gadów — obmyły Annę i owinęły w kolorowe wełniane liżnyki.

Mężczyźni tymczasem jakoś nakarmili małą i mówili, że niczego nad nią zamawiać nie trzeba, bo ona sama jest Niezwykła. I jeszcze powiedzieli, co powiedział Franc, że są rzeczy o wiele ważniejsze od przeznaczenia. On chyba miał na myśli dziedziczność.

Sebastian nie mógł zasnąć po kolacji. Próbował sobie przypomnieć, czy Anna nie mówiła kiedyś o miejscu, gdzie chciałyby zostać pochowana, i zastanawiał się, jak jutro nakarmi dziecko. Potem rozmyślał o doświadczeniach opata Mendla na grochu i doszedł do wniosku, że to dziecko będzie szczęśliwe. Spróbował wyobrazić sobie siebie za siedemnaście lat — w 1951 roku — i natychmiast zasnął.

PIERWSZA STARA FOTOGRAFIA — JEDYNA NIE DATOWANA

1. Niewysoki mur, zbudowany z płaskich, nierównych płyt kamiennych. Płyty różnią się wielkością — są tak cienkie i maleńkie, jak dłoń z zaciśniętymi palcami, ale trafiają się też tak długie, że można się na nich wygodnie położyć. Właśnie one są najgrubsze, choć nie ma wśród nich ani jednej równo ociosanej. Najwięcej jednak jest średnich. Gdyby wziąć taką płytę przed siebie i jeden brzeg oprzeć o podbródek, drugi ledwie sięgałby pasa. Mur posiada dziwną właściwość: choć wygląda na bardzo zwarty i sprawia wrażenie, jakby się ciągnął bez końca — właśnie tak powinny wyglądać wszystkie wytyczone granice — nie zamurowane prześwity między płasko poukładanymi kamieniami wywołują chęć, żeby je albo przestawiać, albo z każdym z osobna jeszcze coś innego zrobić.

2. Ważne jest to, że wszystkie kamienie są zupełnie czyste. Na całym murze nie rośnie ani odrobina mchu, ani jedno maleńkie drzewko czy choćby źdźbło trawy.

I nawet jeśli jakieś liście opadły z kilku buków (mur jest dostatecznie szeroki, liście zaczynają żółknąć i niektóre zrywa suchy wiatr, jak to bywa pod koniec sierpnia — widać to nawet na czarno-białej fotografii), to ktoś je staranie zmiotł z nagrzanego poobiednim słońcem kamienia.

Za murem między drzewami stoi sześcienna budowla — też kamienna. Kamienie są starannie ociosane; wydaje się, jakby cały budynek był monolitem, bez jednego okna. Relief na ścianie frontowej imituje cztery szuflady, dlatego budynek wygląda jak ogromna komoda. Skonstruowano go tak, by górna szuflada była nieco wysunięta. Na stosunkowo małej metalowej tabliczce, pokrytej emalią, prostymi, grubymi i małymi literami wytłoczono napis YUNIPERUS.

3. A przed murem — fragment drogi wyłożonej rzecznyymi kamieniami. Droga zaczyna się u dołu, pośrodku zdjęcia, prowadzi do lewego górnego rogu, omijając wysoką pochyłą limbę, i znika znowu bliżej środka — tym razem u góry. Na samym końcu droga podnosi się pod takim kątem, że jednocześnie pełni funkcję tła. Cały czas mur jest po prawej, a po lewej — wąski kanał z nagimi betonowymi ścianami. Jeszcze bardziej na lewo, już za kanałem, zmieścił się tylko kawałek wysokiego sągu, na którym stoi kilka plażowych leżaków i beczek ze smukłymi jałowcami.

4. Franciszek w białym płóciennym płaszczu z ogromnymi guzikami stoi na samym skraju kanału, na brze-

gu, bliżej drogi. Przez rękę ma przerzucone ubranie. Jest w tym samym kolorze co płaszcz, da się jednak zobaczyć, że to koszula i spodnie. W drugiej ręce — czarne półbuty. Z jego postawy widać, że właśnie odwrócił się od powierzchni wody. A tam — głowa człowieka płynącego z prądem.

5. Twarzy nie można rozpoznać, ale Sebastian wie, że to on. Tak było nieraz: spacerowali po mieście — Sebastian powoli płynął kanałami, a Franc szedł obok brzegiem.

Kanały towarzyszyły każdej uliczce Jałowca. W ten sposób woda z wielu strumyków, ściekających ze stoku nad miastem, zbierała się w basenie przy jego dolnej granicy. Sebastian mógł godzinami pływać w górskiej wodzie, nie przerywając rozmowy. Wszystko wskazuje na to, że fotografia została zrobiona w końcu lata 1914 roku, bo tylko raz był z nimi młody instruktor sztuki przetrwania, którego zaproszono do jednego z pensjonatów, by począwszy od września, prowadził płatne kursy. Oprócz niego przyjechali też wtedy nauczyciel esperanto i właściciel hektografu. Na spacer po mieście wybrał się tylko instruktor.

6. Zaraz po kąpieli i fotografowaniu instruktor proponował, żeby poszli gdzieś na gin, ale Sebastian z Francem mieli ochotę na lekkie młode wino z dzikiego agrestu, zaprowadzili więc instruktora do pancernika Bedy, znajdującego się między dwoma plamami-wyspami jałowca. Beda przez całe lato

zbierał różne owoce i teraz w pancerniku stało kilka dziesięciolitrowych baniaków, w których fermentowały różnokolorowe jagody, nagrzane od metalowych ścian wozu.

Najpierw spróbowali po trochu każdego z win, potem wypili całe agrestowe. Instruktor strasznie się rozgadał i zaczął sprawdzać, jak Sebastian radzi sobie z łatwiejszymi zagadnieniami z teorii survivalu. Okazało się, że nie wie prawie nic i że z łatwością mógłby zginąć w najniewinniejszych okolicznościach. Ale Sebastian wiedział, co to takiego przetrwanie. Wiedział tak dobrze, że w końcu przestał o nie dbać. A mimo to przetrwał.

7. W Afryce miał wiele okazji, by zginąć, przetrwanie było jednak ważniejsze; ciekawiła go Afryka. W końcu, patrząc na dowolny kawałek ziemi — nawet podczas porannego sikania — widział, że znajduje się na innym kontynencie, na nieznanym lądzie. W ten sposób przekonał się, że Afryka istnieje. Bo wcześniej wyliczankę miejscowości, długą listę różnic w architekturze, układzie gwiazd, kształcie czaszek i zwyczajach zacierała zasadnicza niezmiennosc kawałków ziemi i trawy na niej.

8. A przed próbą przetrwania po raz pierwszy stanął wtedy, kiedy wokół niego zaczęła płonąć trawa. Wiatr, do tej pory przynoszący jedynie psychiczny niepokój, rozwiewał na cztery strony ogień z miejsca, w którym spadł na wysuszoną ziemię. Potem Sebastian,

wyprzedzając ogień (może właśnie dobiegł tam, skąd wiatr rozganiał go na cztery strony), trafił w sam środek deszczu, gromadzącego się przez cały rok i spływającego potem po twardej czerwonej ziemi wieloma równoległymi strumieniami, dla których człowiek znaczy tak niewiele, jak najmniejszy żółw piaskowy, i tak dużo, jak miliony, miliardy spragnionych wilgoci nasion, zrzuconych przez badyle obumarłe w ciągu wielu miesięcy suszy.

Instruktor był oburzony niewiedzą Sebastiana. Nie wierzył, że ktoś może pozwolić sobie na spokojne życie, nie mając pojęcia o wystrzeganiu się codziennych niebezpieczeństw. Dlatego Sebastian zdecydował, że na temat przetrwania nie powie już ani słowa.

9. Tak więc, jedyne nie datowane zdjęcie zostało zrobione 28 czerwca 1914 roku. Trzeba będzie zanotować tę datę na odwrocie, choćby twardym ołówkiem.

Nawet gdyby opis się zatarł — a napisy ołówkiem zawsze się ścierają, zwłaszcza kiedy nie ma już nikogo, kto mógłby cokolwiek uściślić — to w porytej ostrym grafitem powierzchni papieru musi zostać ślad po twardym ołówku.

FIZJOLOGICZNIE

1. Każdy mężczyzna potrzebuje nauczyciela.

Mężczyźni w ogóle powinni się uczyć.

Wyjątkowi mężczyźni wyróżniają się nie tylko umiejętnością uczenia się i uczenia innych, ale i tym, że zawsze wiedzą i pamiętają, czego i od kogo się nauczyli, choćby przypadkiem. I jeśli u kobiet pamięć o nauczycielu jest przejawem życzliwości, to dla mężczyzn — najniezbędniejszym elementem tego, czego się nauczyli.

Najznamienitsi mężczyźni nie tylko uczą się przez całe życie (uczyć się to uświadamiać sobie to, co się właśnie odbywa), ale i bardzo szybko sami stają się czyimiś nauczycielami, kładąc akcent na świadomość tego, co się przeżywa.

Tak właśnie tworzy się ciągłość szkoły, która obok drzewa genealogicznego daje maksymalną gwarancję, że w ciągu twojego życia świat nie zmieni się na tyle, by tylko z tego powodu całkowicie stracić chęć do życia.

(Wkrótce i Franciszek, i Sebastian przekonali się, jak dużo wiedzą niektóre kobiety, nawet bez nauczy-

cieli, jak mądre kobiety stają się najmądrzejszymi, kiedy nauczają się, jak się uczyć, a kiedy najmądrzejsze pamiętają tych, których doświadczenia poznały, swobodnie czyniąc je swoimi, przechodzą na taki poziom, jakiego żaden mężczyzna nigdy nie osiągnie. Choćby dlatego, że od takich kobiet nic, poza uświadomieniem sobie istnienia czegoś takiego, żaden mężczyzna nie zdoła się nauczyć).

2. Grafik, który uczył Franca, uczył się u Brehma. Brehm uczył się od zwierząt. Całymi latami grafik opowiadał Francowi różne historie o nauczycielach Brehma. Latami Franc patrzył na zwierzęta i rysował ich zwyczaje. Później owa zaadaptowana zoologia stała się podstawą wychowania jego córki. Rzecz jasna, tego samego nauczył Sebastiana, kiedy ten na zawsze został w Jałowcu i zamieszkał w jego domu. Dlatego dzieci Sebastiana równie dobrze znały te opowieści.

3. Drugą Anną Niezwykli zainteresowali się właśnie dlatego, że na tyle dobrze rozumiała zwierzęta, iż mogła stawać się taka jak one i być z tym czy innym zwierzęciem, nie wywołując w nim niepokoju wynikającego z poczucia obcości. Jeśli chodzi o Sebastiana, to podobało mu się, jak każdego ranka Anna dla wprawy zmienia się w kotkę czy lemura. A podczas ich wspólnych nocy sypiał nawet z tak małymi istotami, jak pająki czy korniki.

4. Franciszek dość szybko zauważył, że ma nieco rozleglejszą fizjologię. Oczywiście, fizjologia każdej istoty zależy od środowiska, ale w wypadku Franca owa zależność okazała się nadzwyczajna. Bez cienia wątpliwości czuł, jak część tego, co miałyby się dziać w granicach jego ciała, wychodzi daleko poza nie. I odwrotnie — żeby móc zaistnieć, niektóre zewnętrzne rzeczy musiały częściowo korzystać z jego mechanizmów fizjologicznych.

Franc uważał, że w czymś przypomina grzyby, których soki mieszają się z drzewem, czy pająki, których proces trawienny przebiega w ciele zabitej ofiary albo mięczaka z zewnętrznym szkieletem-muszlą lub ryby, których sperma swobodnie pływa w wodzie, dopóki czegoś nie zapłodni.

Widział, jak tym czy innym myślom zaczyna brakować w głowie miejsca i jak sadowią się na elementach krajobrazu. Bo wystarczyło spojrzeć na jakiś jego fragment, by odczytać osiadłą tam myśl. A po to, by coś sobie przypomnieć, musiał powędrować w wyobraźni po znanych miejscach, przeglądając i zbierając potrzebne wspomnienia.

Kiedy kochał się z Anną, dokładnie wiedział, jak wygląda w środku, bo był przekonany, że cały przechodzi jej wewnętrzną drogę.

5. Własna fizjologia przestała go niepokoić wkrótce po tym, jak nauczyciel powiedział mu, że Brehm mówił, iż psi węch jest milion razy lepszy od ludzkiego. To było niepojęte, i Franc ani trochę tego nie poj-

mował. Pomyślał o tym w dziesięciokrotnie mniejszej skali, i strasznie się przejął: z jaką siłą wszystko, co dzieje się na zewnątrz, odbywa się w psich głowach, jakie oto przeciągi hulają po korytarzach ich mózgów. (O tym również opowiedział Sebastianowi, i ten starał się uważać na ostre zapachy, żeby psów nie drażniło to, od czego nie da się uciec. Sebastian o mało nie zapłakał, kiedy — wychodząc na snajperską pozycję — musiał smarować buty tytoniowym roztworem, żeby psy, raz zaciągnąwszy się tym zapachem, straciły ochotę i zdolność do dalszego podążania jego śladem). (Franc tak szanował psy, że osiadłszy w Jałowcu, wziął sobie kilka bardzo różnych. Również z szacunku nigdy ich nie układał. Psy rodziły się, żyły i umierały wolne. Prawdopodobnie widząc życie innych psów w okolicach Jałowca, były za to Francowi wdzięczne. Zresztą to one stanowiły prawdziwą inteligencję Jałowca).

6. Co prawda jednego, chyba najinteligentniejszego — nazwanego Lukać na cześć Serba-leśnika, który nauczył Niezwykłych hodować drzewa tak, by rosły niewiele wolniej niż dzikie wino, a w czasie wojny obsadził Jałowiec chaszczami nie do przebycia dla wojsk — Franc musiał zabić własnoręcznie.

7. Lukaća pogryzł wściekły gronostaj.

Czuł się już bardzo źle i wkrótce miała się zacząć agonia. Jak to w wypadku wściekliczny bywa, skurcze mogły nasilić się na widok wody, od podmuchu

wiatru, od światła, głośnej rozmowy, dotyku skóry czy skrętu szyi.

Lukać leżał w oranżerii, w cieniu młodej bergamoty. Akurat zakwitły kwiaty passiflory, ze wszystkimi swoimi cierniowymi koronami, młotkami, gwoździami i włóczniami, i Franc musiał nakryć cały krzak namoczonym płóciennym pokrowcem na pianino, żeby cierpki zapach męki pańskiej nie drażnił Lukaća (kiedyś tak lubił te pachnidła, że w czasie kwitnienia całymi dniami spał pod męczennicą, nie wychodząc z oranżerii).

Bergamota rosła na samym końcu długiego przejścia. Franciszek szedł do psa z toporem w ręce przez całą oranżerię, mijając egzoty. Zwierzę tylko podniosło oczy na twarz, rękę, topór i z trudem uniosło głowę, odsłaniając gardło. Ale Franc zrobił inaczej — objął Lukaća i nachylił jego łeb w dół, naciągając kręgi tak, by uderzenie rozpoczęło się od rdzenia, a nie na nim skończyło.

Bez względu na szybkość operacji Lukać powinien zdążyć poczuć własną krew, a Franc wyraźnie słyszał, jak skrzypią tkanki, przez które przedziera się ostrze. Wydawało się, że dźwięk do ucha wewnętrznego niósł się z jego własnej szyi (tak czasem słysząc własny głos, kiedy się krzyczy pod wodospadem).

8. Zabicie Lukaća tak poruszyło Franca, że potem nieraz zdawało mu się, że to Lukać patrzy na niego oczami swoich dzieci, że gesty, pozy i mimika Lukaća niekiedy wydostają się spod sierści psich wnuków i prawnuków. Że Lukać okazał się nieśmiertelny.

Franc po prostu za mało przeżył, by wiedzieć, że nie do końca tak jest. Bo dopiero Sebastian nieskończenie wiele razy miał okazję przekonać się, że można wchodzić do jednej i tej samej rzeki, żyjąc z żoną, córką i wnuczką.

Sebastian nie widział też niczego dziwnego w tym, że Franc zginął, dokładnie tak jak Lukać (może tylko krwi nie poczuł, ale na pewno usłyszał od środka dźwięk rozdzieranych tkanek), choć nie zabijano go z taką starannością.

9. Podobnie Sebastian nie dostrzegł żadnej aluzji, kiedy jakieś dwadzieścia lat po śmierci Franca, na samym środku mostu na Cisie, rzucił się na niego wyszkolony pies wojskowy. Sebastian tylko odrobinę przykucnął, by wytrzymać napór poruszającej się masy, i podstawił rozpędzonej paszczy osłonięty kożuchem łokieć. Paszcza zacisnęła się na lewej ręce mocniej niż kleszcze, prawą Sebastian wyjął z kieszeni kożucha dużą brzytwę i jednym ruchem odciął psią głowę, tak że została wczepiona w łokieć, a ciało upadło na deski mostu.

10. Z tak rozszerzoną fizjologią Franciszek nie wszędzie mógł czuć się dobrze. Najbardziej chodziło mu o miejsce, w które — jak w wypadku załazni i załazka — jego fizjologii byłoby jak najwygodniej wrastać.

Dobrze Annie pisał Beda — taka tam biologiczna geografia. Franc znalazł miejsce, w którym podróże stawały się nieobowiązkowe.

Przed premierą jednego ze swych filmów w iluzjonie YUNIPERUS powiedział nawet do publiczności z całej Europy: — Żyję jak trawa czy jałowiec, tak, by po tym, jak nasienie ożyło, nie być nigdzie indziej; doczekać świata, który sam przejdzie przeze mnie; zobaczyć go nie zwyczajnie, z dołu do góry, a zorientowany w niebo, czyli powiększony i wystarczająco zniekształcony, by był ciekawszy; zresztą moje miejsce zawsze będzie w centrum historii europejskiej, bo w tych stronach historia w różnych postaciach sama przychodzi na nasze podwórka.

11. W Jałowcu, a właściwie w miejscu, w którym jeszcze nie było Jałowca, Franc zaczął naprawdę żyć. Nawet trochę wstydząc się swojego bezustannego szczęścia.

12. Tego dnia, kiedy zatrzymali się z profesorem między Pietrosem a Szesulem, Franc sądził, że wędruje po niebiańskich wyspach. Tylko kilka najwyższych szczytów wyzierało znad chmur. Zachodzące słońce świeciło wyłącznie dla nich. Czerwona wierzchnia strona chmur rozlewała się w zatoki, laguny, kanały, dorzecza, delty i limany. To, co w środku, było nieistotne.

Na miękkim stoku Franc znalazł jagody. Z powodu niedostatku lata w wysokogórskiej tundrze dojrzały jednocześnie — poziomki, brusznice, maliny, jeżyny i borówki. Franc przestał należeć do siebie, włączył się w jakiś kosmiczny ruch, nie był w stanie się zatrzymać,

zjadł tyle owoców, że aż musiał się położyć, i wtedy poczuł, że opuszcza się na dno nadzwyczajnego łoża; nie wytrzymał i wytrysnął.

Trochę wyżej wciąż była wiosna i kwitły puszyste pierwiosniki.

Jeszcze wyżej powoli topniał śnieg.

Franc zbiegł w dół i wpadł między buki, wśród których panowała jesień. Podczas tego biegu przez cały rok wytrysnął po raz drugi. Profesor tymczasem zbudował szałas. Zjedli po kilka ulepionych z sera huculskich koników i zaparzyli herbatę z liści wszystkich owoców. Wtedy zaczęła zapadać noc. Od księżycowego światła wszystko zdało się pokryte śniegiem, rumuńskie góry wyglądały jak odległa smużka brzegu, a ziemię niepowstrzymanie opuszczało pachnące wermutem ciepło.

CHODZIĆ, STAĆ, SIEDZIEĆ, LEŻEĆ

1. Jeśli miejsca rzeczywiście są najprawdziwszymi wątkami, to kulminacją Jałowca jako miasta były niewątpliwie czasy, kiedy głównym architektem została Anna, córka Franciszka.

Nietrudno jest zostać architektem dziecku animatora, które ani na krok nie oddała się od taty. Zwłaszcza w mieście, które ten stworzył. Według jej pierwszego szkicu z 1900 roku (Anna miała wtedy siedem lat), zbudowano nowy kinematograf YUNIPERUS, który miał postać komody z szufladami — specjalnie na pokazy animowanych filmów Franca.

Jeszcze w dzieciństwie Anna zaprojektowała pływający na jeziorze basen w kształcie gniazda perkoza, podziemne tunele z wylotami-kretowiskami na różnych uliczkach miasta, bar, w którym wyjście było tak urządzone, że po przekroczeniu progu sali wychodziło się nie na dwór, jak się można było spodziewać, a do identycznego pomieszczenia, czteropiętrowy budynek-szyszkę i ogromną dwupiętrową willę-słonecznik.

2. Albowiem Anna myślała ciałem. Każdy ruch odczuwała nie tylko w całości; czuła też napinające się i rozluźniające po kolei włókna mięśni, ruchy stawów, spowalnianie i przyspieszanie biegu krwi w żyłach, wpuszczanie i wyciskanie strumieni powietrza. Dlatego opisami jej myśli były konstrukcje przestrzenne. Dlatego każdą konstrukcję widziała od środka, pod wierzchnią warstwą. I — dokładnie tak samo — postrzegała ją jako przestrzeń, w której przemieszczają się inne ruchome i na pół ruchome konstrukcje: palców, kręgosłupów, czaszek, kolan, szczęk.

3. Franciszek zauważył jednak, że wyobrażenia Anny początkowo nie wychodziła poza granice symetrii. Tłumaczył to tym, że oczarowanie cudem naturalnej symetrii jest pierwszym dziecięcym krokiem do świadomego odtwarzania piękna porządku świata.

4. Anna wychowywała się w dość ograniczony sposób.

Kiedy wciąż nazywała się Stefania, a Anną była jej mama, Franc zrozumiał, że najważniejsze w wychowaniu dzieci jest jak najczęstsze przebywanie z nimi. Może przejął się tym zbyt dosłownie, bo po śmierci żony przez niemal dwadzieścia lat nie było ani chwili, kiedy nie pozostawaliby z Anną razem. Zawsze razem. Albo w jednym pokoju, albo razem wychodzili z domu, albo robili coś w ogrodzie, widząc się wzajemnie. Nawet kąpiąc się, Anna nigdy nie zamykała drzwi do łazienki. Było dla nich ważne, by stale słyszeć, co

mówi drugie. Na tym polegała jedyna zasada pedagogiki Franciszka. Dziwne, ale Annie takie życie się podobało. Odkąd na poważnie zajęła się architekturą, przechodził ją dreszcz radości, gdy wspólnie pracowali za swoimi biurkami w dużym gabinecie — ona robiła szkice i rysunki, a tato rysował swoje kreskówki.

5. Przez całe życie Franciszek mówił nie tyle do niej, co po prostu mówił. Wszystko, czego słuchała Anna, słyszały też ich psy. Anna rzadko o coś pytała, nauczyła się za to ciągle opowiadać o swoich wewnętrznych odczuciach, starając się dobierać najsztudniejsza określenia.

Często przerywała Francowi: — Opowiedz to samo jeszcze raz, ale nie tak krótko.

Anna nie potrafiła czytać ani pisać, za to codziennie oglądała rysunki w Laroussie. Muzykę słyszała tylko w wykonaniu uzdrowiskowej kapeli i Hucułów grających na flojarach, cymbałach, gęślach i trombitach. Sama grała jedynie na drumli. Koło rysowała idealnie, ale składała je z dwu symetrycznych części. Równie dokładnie potrafiła narysować dowolną elipsę, a prostą mogła przedłużać bez końca, odpoczywając od czasu do czasu po kilka sekund albo miesięcy. O mamie wiedziała wszystko, co powinna wiedzieć dziewczynka. Bawiła się z psami, i w ten sposób miała zapewnione towarzystwo rówieśników.

6. Żyła dwukrotnie więcej, codziennie przeżywając życie swoje i Franciszka.

7. Niespodziewanie dla siebie samej, Anna zaczęła rysować nasiona fasoli. Ruch, jaki był do tego potrzebny, przynosił jej najwyższą rozkosz fizyczną. Tysiące powtórzeń nie zmniejszały rozkoszy. Anna zaczęła o tym myśleć.

Wszędzie widziała fasolki — w kamieniach, w rzece i w księżycu, w zwiniętych psach i pozycji, w jakiej najczęściej zasypiała, w owczych nerkach, płucach, sercu i półkulach mózgowych, w grudach bundza i kapeluszach grzybów, w ciałkach ptaków i zarodkach, w swoich piersiach i w dwu ulubionych kościach biodrowych, sterczących u dołu, w brzegach jezior i w koncentrycznych figurach, za pomocą których na mapach geograficznych zaznacza się wysokość. W końcu ustaliła, że fasola jest najbardziej przemyślaną formą wydzielania małej przestrzeni z dużej.

8. Anna opowiedziała o tym staremu Bedzie, kiedy przyniosła cały worek pięknego jasia do jego pancernika. Wtaszczyli worek na dach i wsypali wszystko przez górny właz. Anna spojrzała w dół i zamarła — pancernik był pełen fasoli różnego kształtu i koloru, wierzchołek kopca powoli osuwał się w dół, co przywodziło na myśl strumienie lawy. Beda zbierał fasolę z całego Jałowca, żeby ją zawieźć na bazar w Kosowie.

Widać potem coś powiedział Niezwykłym, bo przyszli i zrobili tak, że zupełnie młodą Annę mianowano architektem miejskim.

9. Kiedy Franc wybierał miejsce, zadbał o to, by było wygodnie we wszystkich czterech pozycjach — chodzić, stać, siedzieć i leżeć — w jakich może znajdować się człowiek.

Z Anną było inaczej. Ona od początku żyła w takim miejscu. Zostawszy architektem, zaczęła wymyślać nowe pozycje. Doskonale pamiętała to, czego nauczył ją Franc, a jeszcze lepiej — czego w ogóle nauczał Franc. Początkowo jednak nie wierzyła, że powiedziała jej wszystko.

10. Można spadać — i pod niektórymi budynkami rozłożono batuty, na które zeskakiwało się wprost z balkonów.

Można wisieć — i z dwóch gór poprowadzono liny, po których trzymając się specjalnych uchwytów (Anna znalazła je wśród wspinaczkowego szpeju mamy), zjeżdżało się aż na główny plac, zawisając na kilka minut nad dachami i niższymi drzewami.

Można się huśtać — i na budynkach zamontowano trapezy, z których przeskakiwało się na drugą stronę ulicy.

Można się jeszcze toczyć, podskakiwać, pełzać, grzebać w ziemi — i to też na różne sposoby zostało uwzględnione w odnowionym Jałowcu. Do ginowego kurortu przybyło jeszcze więcej pacjentów. Sebastian wtedy już walczył w Afryce, a ze stanisławowskiego więzienia uciekł terrorysta Siczyński.

11. Franc widział wyraźnie, że Anna nie mogła nic wymyślić, bo nawet podczas spadania (czy powiedzmy, lotu — nawet gdyby ten się udał) człowiek albo stoi, albo leży, albo siedzi w powietrzu.

Spodobały mu się jednak innowacje i zaproponował, by zimą wszystkie ulice polewać wodą. Jałowiec na kilka miesięcy stawał się jednym wielkim lodowiskiem. Tylko trzymając się biegnących wzdłuż ulic poręczy, można się było jakoś wdrapać do wyżej położonej części miasta. A Franc potrafił chodzić po śliskiej powierzchni.

12. Wędrując z Franciszkiem po okolicznych górach, Anna widziała wiele huculskich wsi. Patrząc uważniej, zaczynała rozumieć, co znaczy mieć własny dom. Dbanie o dom nadaje sens codziennym poszukiwaniom pożywienia. Posiadanie domu jest jakby odkładaniem resztek pokarmu albo dzieleniem się z kimś jedzeniem. A czasem byciem skazanym na szukanie jedzenia.

Jeśli ciało jest bramą duszy, to dom jest gankiem, na który duszy wolno wychodzić.

Widziała, jak dla większości ludzi dom staje się podstawą biografii, namacalnym efektem istnienia. Poza tym — tam odpoczywa pamięć, bo najlepiej radzi sobie z przedmiotami.

Oczarowywała ją ta huculska osobliwość — samemu zbudować własny dom z dala od innych. Na czystym miejscu. Kiedy dom jest już zbudowany, staje

się mądrzejszy od wszystkich proroków i wróżbiarzy — zawsze powie, co masz robić dalej.

13. I jeszcze o jednej właściwości piękna. Żeby być dostępnym, piękno musi dać się ująć w słowa. Dlatego musi zostać podzielone na mniejsze części. Dom tworzy taką małą przestrzeń, w której można zdążyć ze stworzeniem piękna własnymi siłami.

Przestrzeń, światło, przeciąg, przejścia między strefami w podzielonej przestrzeni Anna uznała za podstawowe kryterium piękna. Dlatego zaprojektowała kilka budynków na wzór huculskich chałup-zagród. Kolejne pokoje i pomieszczenia w budynku wychodziły bezpośrednio na kwadratowe podwórze, zamknięte nimi z każdej strony.

14. Kwintesencją piękna, jakie może wyjść spod ludzkiej ręki, całej bodaj estetyki, są niewątpliwie rośliny (potrawy również; tu, jak nigdy, duch i materia tworzą jedno). Z drugiej strony — niewiele innych rzeczy jest tak doskonałym ucieleśnieniem etyki, jak pielęgnacja roślin. Nie mówiąc o tym, że obserwowanie zachodzących sezonowo zmian to najprostszy sposób na prywatną filozofię. Dlatego serbski leśnik Lukać podwórze zagrody obsadził przywiezionymi z Macedonii kwitnącymi krzewami: barbarytem, kameliami, wrzosem, dereniem, wilczą jagodą, forsycjami, hortensjami, jaśminem, magnoliami, rododendronami i klematisami.

15. Samo miasto Anna poleciła ogrodzić prześwitującymi *woryniami*, zygzakowatymi płotami z długich świerkowych żerdzi. Do miasta wchodziło się prawdziwymi wrotami-*rozłohami*, rozsuwając *zaworitnyci*.

Nie było szczególnej potrzeby, ale Anna chciała ożywić jak najwięcej huculskich słów, koniecznych przy opisie takich ogrodzeń — *gary*, *zaworynie*, *hużwa*, *bylcia*, *kieczka*, *spyż*.

SYTUACJE Z KOLORYTEM

1. Głównym mieszkańcem Jałowca był oczywiście jałowiec. Franc zaplanował budowę miasta tak, by na żadnej z trzech stron góry nie zniszczyć bodaj jednego krzaka. Ponieważ drzewa było niewiele, większość budynków budowano z szarego regularnego kamienia, pochodzącego ze skał, w niektórych miejscach nazywanych gorganami. Dlatego miasto miało dwa główne kolory: szary i zielony — jeszcze mniej niż huculska ceramika. Ale o ile szary wszędzie był jednakowy, o tyle zielony miał wiele odcieni. A właściwie inaczej — nie wystarczy powiedzieć: zielony. Lepiej — zielone. Zielonych było rzeczywiście tak dużo, że wszystko wydawało się nieprawdopodobnie kolorowe. Pomijając nawet tysiące naprawdę całkowicie różnych plamek bordowych, czerwonych, różowych, fioletowych, niebieskich, błękitnych, żółtych, pomarańczowych, białych, znowu zielonych, brązowych i niemal czarnych kwiatów. Na tych kwiatach mała Anna uczyła się kolorów. (Franc często wspominał ten okres jako najpiękniejszy. Nazywanie kolorów urzeczywistniało ideę

tworzenia świata i budowania porozumienia). Jeśli żyje się uważnie, to w takim mieście uprawa kwiatów staje się niepotrzebna. I tak też było.

Trzeba sobie ponadto wyobrazić jednolite smugi kolorów bliższych, dalszych i dalekich gór, które widać było z każdego miejsca w Jałowcu. A także niebo, chmury, wiatry, słońca, księżyce, deszcze i śniegi.

2. Wokół kamiennej osady rośło tak dużo jałowca, że woń jego nagrzanych, rozmoczonych, nadłamanych gałązek, rozgniecionych jagód, igieł i korzeni prze-radzała się w smak.

3. Trudno zgadnąć, kiedy Sebastian zdążył się z Francem tak nagadać, że pamiętał tyle jego fraz. Przecież mieli ledwie rok i dziewięć miesięcy. A większość tego, co powiedział Franciszek, przetrwało właśnie dzięki Sebastianowi. To od niego Niezwykli spisali najbardziej znane zdania, odtworzone potem na różnych częściach gigantycznego serwisu obiadowego w fabryce porcelany w Pacykowie. Druga Anna nawet żartowała, że wszystkie te przypowieści wymyślił sam Sebastian, a zwrot „Franc powiedział” to tylko Sebastianowe słowo-pasożyt. Takie samo, jak „kurwa”, „może”, „prawda”, „yyy”, „po prostu”.

4. W każdym razie sam Sebastian mówił, że Franc mówił, że życie zależy od tego, obok czego chodzisz. Ale to, obok czego chodzisz, i tak zależy od tego, dokąd idziesz. Czyli dosyć łatwo można to zmienić.

Gorzej z innymi ważnymi momentami — co pijesz i czym oddychasz.

W Jałowcu wszyscy oddychali wonną smołą jałowcową i pili jałowcówkę, do której jałowiec trafiał trzykrotnie. Bo woda, w której fermentowały słodkie jagody, najpierw latami przelewała się z nieba na ziemię, obmywając jałowiec, nacierając się nim i zapamiętując go, a potem grzała się na ogniu z jałowcowych gałęzi.

5. Jałowcówkę pędzono na każdym podwórzu. Świeże pędy gotowały się w kotłach z alkoholem z jagód jałowca. Na kamieniu zbierała się para, która stygnąc, skraplała się w gęsty gin. Zdarzało się, że nad dachami zawisały ciężkie chmury ginu. Dlatego kiedy ścinał mróz, z nieba sypał alkohol. Na już chłodnej ziemi zamarzał, i ulice pokrywały się cienkim lodem. Można było się upić, liżąc go. W takie dni, chodząc po ulicy, trzeba się było ślizgać. Choć naprawdę noga nie zdąży się poślizgnąć, jeśli idzie się dostatecznie szybko — żeby podeszwa jak najkrócej tarła o powierzchnię.

6. Najpierwsza Anna zjawiała się w Jałowcu już wtedy, kiedy miasto stawało się modnym kurortem. Tuż przed tym potłukła się mocno, spadając ze skały — mimo że była na linie — i przez dłuższy czas nic nie jadła. Bardzo się przestraszyła. Następnego dnia znowu poszła w góry i próbowała się wspinać. Nic z tego nie wyszło. Po raz pierwszy ciało nie chciało stać się przedłużeniem kamienia. Coś okazało się silniejsze.

Przyjechała do Jałowca, piła gin, chciała trenować, ale piła. Nie odważyła się nawet zbliżyć do skał. Wkrótce poznała Franciszka. Robił filmy animowane, dla których do Jałowca przyjeżdżało nie mniej turystów niż dla ginu.

7. Anna czuła się jak porost, oderwany od pustego brzegu nad zimnym morzem. Musiała po prostu wytrwać, żeby przetrwać. Inaczej się nie dało. Bardzo nie chciała być złym człowiekiem. Boże! Nie daj mi nikogo skrzywdzić — modliła się co chwilę.

Pierwszy raz nocowali z Francem w barze, w którym — trafiwszy tam przez przypadek wieczorem — nie mogli nie zatrzymać się do rana. Barman na tyle był niepodobny do barmana, że dość długo czekali na kogoś, do kogo można by się zwrócić. Robili sobie wzajemnie ginowy masaż, przygotowali trzy ginowe inhalacje, palili mocny gin na dłoniach i brzuchu, pili rozlany na stole i sobie nawzajem z ust. Anna wciąż jeszcze nie wyobrażała sobie Franca w jakimś innym miejscu.

8. W nocy leżeli obok siebie na rozłożonych krzesłach i zrozumieli — sądząc po tym, jak ich kości i ciała się dopasowały — że są bratem i siostrą. Albo mężem i żoną. Nawet jeśli by się to miało nie powtórzyć, i tak przyjemnie było się dotykać. A ona myślała o różnych drobiazgach i dziwach, jakie się w dowolnej chwili przydarzają lub mogą przydarzyć.

Kiedy spali, przypasowując kość do mięszu, kość do kości, mięsz do mięszu, ich czaszki nieustannie

dotykały się wystającymi nierównościami. Przewracali się, przytulali, wiercili i odsuwali, a czaszki nie rozdzierały się ani na sekundę. Niekiedy stukotały, zahaczając wyjątkowo wyraźną wypukłością czy wgłębieniem; często się budzili, przestraszeni nadmierną bliskością, jaką stwarzały same tylko głowy. Nigdy więcej Franciszek z Anną nie doznali takiego wspólnego olśnienia i oświecenia.

Na zewnątrz zaczęło świtać. Główna ulica miasteczka mijała zamknięte bary, ciemne podwórza zarośnięte nigdy nie dojrzewającym winem, niziutkie kamienne ogrodzenia i wysokie bramy, i biegła wprost do podnóża 1695-metrowej góry, zmieniając się powoli w ledwie widoczną ścieżynkę, która o tej porze dnia lśniła białością.

9. Cięża Anny była pełnią szczęścia. Tym, co naprawdę można nazwać współżyciem, rodziną.

Wieczory zaczynali odpowiednio wcześniej. Chodzili w ciepłych jesiennych płaszczach po najodleglejszych zakamarkach pomiędzy wciąż nie zamieszkanymi wилami. Udawali, że to nie ich miasto. Trzymał jej rękę w swojej kieszeni. Szli, robiąc krok jednocześnie tą nogą, do której tak mocno przylegała noga drugiego, aż czuli napięcie mięśni, a stawy ud zabawnie tarły o siebie. Bardzo się jej podobało, że wszystko jest takie proste. Że kocha ją ten, którego ona kocha. Po raz pierwszy przeżywała radość tego, że rano nie trzeba iść precz. Opowiadała mu o tym, co było, kiedy jeszcze go nie było, i bardzo lubiła, jak jej opowiadał o tym,

jaką ją zna. Rano na balkonie długo jedli śniadanie złożone z miodu, kwaśnego mleka, nasączonych w winie suszonych gruszek, smażonych sucharków moczonych w mleku i różnych orzechów.

10. Na stoliku obok wanny stała stara maszyna do pisania, z nieruchomą żeliwną podstawą, i to, czego nie mieli odwagi sobie powiedzieć, pisali na długim arkuszu najlepszego papieru, włożonym do remingtona. Źle mi z ludźmi, których nie znasz — pisała Anna — czy dobrze jest im teraz, czy dobrze im było ze mną, czy jemu jest tutaj dobrze. Źle i trudno jest być z tym, kto nie mówi, co mu się podoba, a co nie. Franciszek pisał coś zupełnie innego: Jeszcze nie wyrządziwszy nam zła, niedobrzy ludzie powodują, że nie jest nam dobrze — zmuszeni jesteśmy brać pod uwagę ich istnienie. Dobrzy ludzie przestają być dobrymi, kiedy zaczynają żałować tego, co żał oddać — czemuś napisała Anna. A Franc: Sens i rozkosz istnieją tylko w szczegółach, trzeba znać te szczegóły, żeby móc je powtarzać.

Już po śmierci Franca Sebastian znalazł maszynę. Papier wciąż tam był. Potem często wyobrażał sobie prawdziwe dialogi żywych ludzi, zbudowane na podobnej zasadzie.

11. Franc próbował oduczyć Annę strachu. Prowadził ją na skały od strony, gdzie można było wspiąć się przez gęstą kosówkę, od tyłu. A tam brał ją na ręce i trzymał nad przepaścią. Przeznaczenie nie

jest najważniejsze — mówił Franciszek. Najważniejsze — niczego się nie bój. Ale coś w jego metodzie szwankowało.

Nauczył się jej ciała lepiej niż ona. Mógł wziąć jej rękę i dotykać nią Anny tak, jak ona sama nigdy się nie dotykała, a nawet nie potrafiłaby. Tak z nią postępował, że aż łaskotały żyły, tętnice, naczynia krwionośne. Bardzo długo jej pokazywał jej własną urodę. Wtedy Anna zaczęła rozumieć, że jest piękna. Piękna nie dla kogoś, a dla siebie. I jeszcze bardziej przeraziło ją, że to wszystko, uderzając o kamień, może się roztrzaskać.

Lubię swoje życie — prosiła Franciszka. To dobrze, przekonywał ją, bo nic innego nie ma. Nie lubić go to wyrzec się wszystkiego.

12. Mimo to spróbowała jeszcze raz. Kiedy Franc zatkanął jej uszy. Bo nagle zaczął podejrzewać, że Anna nie boi się wysokości, a towarzyszącego jej dźwięku ciszy.

Asekurowana na wszelkie możliwe sposoby, z zatkanymi uszami, ciężarna Anna wspinała się po skale, zbita z tropu tym, że nie wie, jak przylgnąć brzuchem do kamiennej ściany.

Franciszek zaryzykował wspinaczkę obok niej. Obrysowywał na skale kontury przylegającego do niej brzucha. W dół zjeżdżali tak szybko, że oparzyli dłonie o linę. Z jakiegoś powodu takie nieznaczące oparzenia sprawiają, że nie można zasnąć. Następnego rana ruchome dagerotypy zarysu przemieszczającego się po skale zarodka były już gotowe. Film się wyjątkowo udał. Nie szkodzi, że był krótki.

13. Franciszek nie przywiązywał wagi do czasu. Wszystkie jego filmy trwały po kilka minut. Wymyślił animację, jakiej mogło nie być. Odczuwał satysfakcję z tworzenia nasyconych minut, których mogło nie być. Gdyby nie. Gdyby czegoś nie zauważył, gdyby nie wymyślił reguł, gdyby nie dopasował, gdyby nie wyodrębnił — i wiele innych „gdyby nie”.

Życie jest tak krótkie — mówił Franciszek — że czas nie ma najmniejszego znaczenia. Tak czy inaczej życie odbywa się całościowo.

Franc marzył o czymś radykalnym. I w swych rozważaniach doszedł do tego, że najbardziej radykalne jest czekanie.

14. Po urodzeniu córki Anna zdecydowała się wrócić do trenowania. Próbowала zatykania uszu, ale znowu coś uległo zakłóceniu. Uchu wewnętrznemu zabrakło drgań, bez których trudno określić granice własnego ciała.

Przypomniła sobie ogród swojego ojca i wzięła morfinę. Wibracja natychmiast się pojawiła.

Jednakże dźwięki zaczęły się dziwnie zachowywać. Tak jakby przestały zależeć od odległości. Płynęły z ogromną szybkością jak ciasno namotane kłębki, nie roznosząc się w powietrzu. Czasem taka kula stykała się w powietrzu z inną, zupełnie nieoczekiwanie zmieniając kierunek. Na skutek niektórych zderzeń z obu kłębków odrywały się kruszyny dźwięku i proch. Latały niezależnie. Mieszając się, oddzielając, lecąc w górę, opadając albo wbijając się w ziemię. Już cztery

razy wyżej niż jej wzrost Anna znalazła się w gęstych chmurach kakofonii. Kiedy podniosła się wyżej, zaczął ją dolatywać nieznosny huk, z jakim najmniejsze ziarenka piasku spod jej palców osuwały się na dno przepaści.

15. Anna już się nie wspinała. Nie przestała jednak brać morfiny. Całymi dniami przesiadywała na werandzie i wsłuchiwała się w życie rozmaitych owadów, mieszkających wokół domu. Nie słysząc nawet płaczu głodnej Stefanii.

Daremnie Franc usiłował coś zmienić. Udało mu się jedynie odciągnąć trochę mleka z piersi Anny i nakarmić nim małą. Ale opium pokochało również mleko. Zdążyło je wypić najpierw, i Franc bezsensownie miał zwiędłe piersi. Poszedł do wiedźmy, która kradła krowom mleko, i poprosił, żeby zabierała mleko Annie. Dziecko zaczęło się najadać, ale razem z mlekiem spożywało też opium. Franc myślał, że mała śpi całymi dniami, bo jest syta. Tak było zresztą spokojniej. Ale kiedy Annie ostatecznie skończyło się mleko i nawet wiedźma nie odciągnęła ani kropli, Stefania przeszła prawdziwy zespół abstynencyjny. Niezwykłym ledwie udało się ją odratować gotowanym w mleku makiem.

To samo robiła Anna. Spała, śniła cudowne sny (niektóre z nich — a miała ledwie pół roku — pamiętała przez całe życie; choć może pamiętała tylko wrażenie po tamtych snach, a reszta przyszła później) i ze spokojem słuchała, jak drążą ziemię czerwce, jak krzyczą

kochające się na napiętych sieciach pająki, jak chrzęści ściśnięta w dziobie pliszki klatka piersiowa żuka.

16. W środku grudnia Franc wziął Annę na kolana i poprosił, żeby opuściła Jałowiec. Anna wstała, pocałowała Franca i poszła do pokoju po dziecko. Wtedy zaproponował coś innego — wyzwiał ją na pojedynek. Bo do dalszego życia mała potrzebowała śmierci któregoś z rodziców.

Anna się zgodziła i wybrała broń — pójdą teraz na zaśnieżone, smagane wiatrem skały i wespną się bez żadnego zabezpieczenia dwoma nieoznakowanymi szlakami. Które wróci, zostanie z dziewczynką. Bez względu na swoje lęki była pewna, że tylko tak pokona Franciszka (w ogóle nie pomyśleli o tym, że żadne z nich może nie wrócić, i nic nikomu nie mówiąc, zostawili małą w kołysce).

Ledwie dobrnęli przez śnieg pod skały. Zdjęli kożuchy, wypili po połowie butelki ginu, pocałowali się i ruszyli.

17. Franciszek po raz pierwszy musiał stać się prawdziwym alpinistą (czy pierwszy raz robię coś po raz pierwszy — pomyślał). Dlatego schodził ze szczytu kilka godzin; okazało się, że stwardniały śnieg nawet mu pomógł — inaczej nie utrzymałby się na nagim zboczu. Było mu strasznie przykro, ale Annę mógł pochować dopiero w czerwcu, kiedy śnieg w szczelinie stopniał.

DRUGA STARA FOTOGRAFIA — ARDŻELUŻA, 1892

1. Nagie kobiece plecy kończące się szerokim pasem huculskim, niżej — skrawek czarnego materiału. Na mocno wychylonej w przód szyi delikatna kreska grubych koralii. Głowy nie widać. Ręce opuszczone w dół, zgięte w łokciach. Tors lekko wygięty w lewo, dlatego widoczne są tylko cztery palce, którymi prawa ręka trzyma za lewe przedramię. Plecy są prawie trójkątne — tak szerokie są ramiona i tak wąska talia. Między górnym brzegiem pasa a białą skórą trochę wolnej przestrzeni. Wyraźne łopatki i szczyty barków. Poniżej szyi wystające cztery wzniesienia kręgów. Od miejsca, gdzie się kończą, wzdłuż środka pleców ciągną się dwie smugi napiętych mięśni. Przy samej talii odległość między nimi jest najmniejsza, a głębokość wąwozu — największa. Klawiatura żeber prześwieca tylko z lewej, i właściwie nie na plecach, a na boku. Ale tam, gdzie klatka piersiowa się kończy, zaczyna się głęboka zatoka talii, której linia znów wraca w pasie do poprzedniego poziomu.

Biorąc pod uwagę kontrast między białymi plecami a czarnym pasem, nietrudno zgadnąć, że światło jest maksymalne. Choć między mięśniami przy kręgosłupie kładzie się ledwo widoczny cień.

2. Ujęcie z bliska. Na prawo w głębi kadru widać małego konia, stojącego w znacznym oddaleniu od aparatu. Konik-hucuł jest dość stary — lepszego nie udało się znaleźć po państwowym poborze koni do Bośni — za to pięknie zadbany. Zamiast siodła — wąski, długi liźnyk.

3. Pierwszego wspólnego lata Franc z Anną poszli na Kostrzycę oglądać panoramę Czarnohory. Dzień był słoneczny i widzieli całe pasmo — Pietros, Howerłę, Breskuł, Pożyżewską, Dancerza, Homuł, Turkuł, Szpyci, Rebra, Tomnatyk, Brebenieskul, Munczel, Smotrec, Stajki, kawałek Świdowca — Bliźnicę i Tatulską, dalej — Czarną Połoninę, Doboszankę, Jawornik. Za ich plecami znajdowały się Rotyło, Biała Kobyła i Łysina Kosmacka.

W drodze powrotnej, za Ardżelużą, Anna zdjęła koszulę i postoiły, i została w samych męskich portkach. Szli w górę Prutu. Od czasu do czasu schodzili do wody, by się napić. Rzeka była tak płytka, że Anna kładła ręce wprost na dno i pochylając się nad wodą, zanurzała w niej twarz. Koniuszki piersi, choć zbliżały się do niespokojnej powierzchni, nie moczyły się. Tylko ciężki mosiężny krzyż z formy, z prymitywną podobizną ukrzyżowanego, stukał o kamienie. W ta-

kich chwilach Franc kładł Annie na plecy biedronkę, owad obiegał kropelkę potu, łaskotał skórę, a Anna nie była w stanie poruszyć choćby ręką.

Po kąpeli całowali się, dopóki usta zupełnie nie wyschły. Bo wszystko, co mokre, wysycha. Skóra pachniała chłodnymi wodorostami spomiędzy ciepłych kamieni, w rzekach nagrzanym od ciepłych wiatrów znad ośnieżonej Howerli. Gdyby udało im się zapamiętać to fizyczne odczucie tak, by móc je w każdej chwili dokładnie przywołać, uczucie szczęścia byłoby trwałe.

Wtedy wciąż jeszcze chętnie i stale rozmawiali. Franc myślał, jak wszystko, na co warto patrzeć, się zmienia, jeśli ma się to komu pokazać.

Konik niósł tylko gruszową skrzynkę z aparatem fotograficznym i wypełnioną jałowcówką jaworową beczułkę i ani razu nie zszedł do wody, by się napić.

4. Kiedy w grudniu 1883 Franciszek wrócił ze skał sam, zanim nakarmił dziecko, szukając alkoholu, natknął się przypadkiem na tę samą beczułkę. Jałowcówki zostało jakieś pół litra; sam wypił to, czego nie dopili w dwójkę. Wtedy wyjął spomiędzy larousse'ów tę właśnie fotografię, wsunął ją między dwa prostokątne szkła, wyrzuciwszy jakiś rysunek, i postawił na zawsze na swoim biurku.

Natłukł w moździerzu garstkę suszonych jagód, załał ciepłą wodą z miodem i zaczął karmić Stefanię. A rano poszedł do księdza i polecił w księgach cerkiewnych zapisać córkę pod imieniem Anna.

5. Sebastian zdecydował, że postąpi właściwie, wkładając Francowi do trumny tę właśnie fotografię (nie mógł przewidzieć, że komuś, kto już jest na świecie, będzie jej potem zawsze brakowało). Dlatego pewnie nie ocalała.

KUSZENIE ŚWIĘTEGO ANTONIEGO

1. Kiedy Anna była całkiem małą, Niezwykli podarowali jej miniaturową figurkę świętego Antoniego. Statuetka Antoniego w mniszym habicie; w jednej ręce święty trzyma lilie na długich łodygach, w drugiej — dziecko. Niezależnie od wielkości, figurka Antoniego wyglądała jak prawdziwa: kiedy Anna kładła głowę na podłodze, a figurkę stawiała trochę dalej, albo z podłogi — gdy Antoni stał na samym brzegu stołu. Szczególne wrażenie robiły jego precyzyjnie oddane rysy twarzy.

Niezwykli mówili, że Antoni został odlany z przetopionego ołowiu, który wcześniej był kulą. Figurka mieszkała w metalowym pojemniczku, w którym żołnierze trzymają nieśmiertelniki ze swoim imieniem i adresem rodziny. Anna nosiła go na za długim łańcuszku na szyi. Od ciągłego pocierania miedzi o skórę nigdy nie schodziły z niej zielone plamy. Franciszek uważał, że to nie szkodzi. Kiedy była wyjątkowo ładna pogoda, Anna wyprowadzała Antoniego na spacer. Wyjmowała go z pudełeczka i wietrzyła gdzieś w tra-

wie. Kiedy zamykała go z powrotem, wkładała mu do środka niewielki kwiatek — fiołek, margerytkę, płatki z kwiatów śliwy lub kwiat lipy, żeby Antoni miał czym oddychać.

2. Ona sama bardzo pięknie pachniała. Franciszek najbardziej lubił, kiedy zasypiała na jego biurku. Pracował jeszcze przez chwilę, bardziej przyglądając się zwiniętej śpiącej córce, a potem wchodził na biurko, brał pod głowę książkę, obejmował Annę i długo oddychał wydychanym przez nią powietrzem. Gładził jej głowę, i czasem rano Anna budziła się z siateczką cienkich, płytkich zadrapań na twarzy — jakaś stwardniała skórka na palcach Franciszka skrobała jej ciało.

3. Franciszek był przekonany, że nie może istnieć pożyteczniejsze zajęcie od przyglądania się córce. Codziennie widział tysiące doskonałych ujęć, nigdy jednak nie odważył się użyć aparatu. Dlatego zapamiętywał je z taką starannością, że niekiedy łapał się na myśli: tak dalej nie można. Bo często bywało, że wieczorem nie mógł sobie przypomnieć, co jeszcze zdarzyło się w ciągu dnia, poza tymi wyobrażonymi fotografiami (za to kiedy Anna podrosła, mógł jej całymi godzinami opowiadać, jak w danym dniu dzieciństwa wyglądała).

4. Anna miała sześć lat, kiedy opowiedziała tacie o tym, że pamięta, jak spała kiedyś w dużej skrzyni, postawionej na długim wozie o ośmiu kołach,

pod drzewem, z którego zwisało gniazdo z otworem u dołu. Wieczko było otwarte i z gniazda spoglądało na nią granatowe oko jakiegoś ptaka. A potem zewsząd zleciały się stada maleńkich białych sów i siadły wokół drzew, tworząc koncentryczne koła na ziemi, kopkach siana, krzakach szypszyny, studni i na brogu. I jeszcze na drutach naciągniętych między słupami.

5. Franciszek uznał, że takie widzenie jest wynikiem morfinizmu, i wezwał Niezwykłych. Ci trochę z Anną pogadali, i w końcu wieszczka powiedziała, że dziewczynie wszystko się przyśniło. Uprzedziła Francę, że mała coraz częściej będzie opowiadać różne nie stworzone historie, wypytywać, czy to lub tamto się zdarzyło, że niektórych rzeczy nie będzie pewna do śmierci — co było naprawdę, a co się przyśniło — i nie będzie dla niej prawdy i nieprawdy, tylko różne odmiany rzeczywistości. Ale sny nie mają nic wspólnego z wieszczeniem. Opowiadają, jak może być.

6. Franc postanowił, że córka choć jedną rzecz na świecie musi znać doskonale i bez wątpienia. Zaczęli chodzić za Kwasiwski Mencził, do wpadającego do Czarnej Cisy Kewelowa, i Anna nauczyła się wszystkich kamieni na jego brzegu — jak który wygląda i obok którego leży.

Tymczasem wszyscy Niezwykli ściągnęli do Jałowca i zostali w mieście z przerwami aż do 1951 roku, kiedy oddział specjalny czekistów, przebranych za UPA, spalił miotaczami ognia szpital dla umysłowo cho-

rych, w którym zamknięto wytropionych i schwyty-
nych w 1947 Niezwykłych. Potrzebowali być blisko
Anny.

7. Na kilka tygodni przed rokiem 1900 Franc skoń-
czył bardzo ważny film animowany.

Życ to splatać i rozplatać węzły, rękami i wszyst-
kim innym — uczył go niegdyś Niezwykły od gadów
i dał cały pęk węzowych skórek. Franc miał rozwiązać
skórkę po skórcie i spleść swoją własną plecionkę. Lo-
gika żyje w palcach, jej kategorie uwzględniają tylko
to, co uda się zrobić palcami. Jak różańcem, dzień i noc
obrać pęczkiem skórek. W końcu rozwiązał wszyst-
kie, ale kiedy trzeba je było z wiązać po swojemu, oka-
zało się, że palcom strasznie trudno jest poruszać się
inaczej niż po już istniejącej powierzchni. Za to Anna
nadziergała takich węzłów, że gadziarz zaprowadził
Franca na most, na którym osiedlili się Niezwykli.

8. W zamierzeniu wiadukt miał być przerzucony
między jednym a drugim grzbietem, pomiędzy któ-
rymi leżał Jałowiec. Najpierw miał zostać wybudowa-
ny środek, i dopiero wtedy wiadukt pociągnięty w obie
strony do szczytów. Franciszek wyobrażał sobie, że
w przyszłości ten szlak zmieni całą drogę z Szesuła na
Pietros w wygodny spacer. Jednakże ten projekt oka-
zał się dla Jałowca jedyną niemożliwą do wykonania
rzeczą. Trzy połączone ze sobą, lecz nie związane z zie-
mią arkady — o wiele wyższe od mostów kolejowych
w Worochcie i Delatynie — zwiisały nad mostem po

przekątnej, zaczynając się i kończąc w powietrzu. Na górze został kawałek szerokiej drogi. Tam zamieszkali Niezwykli.

Franc bardzo długo wspinał się na most po wiszącej drabinie, która huśtała się jeszcze mocniej, bo pierwszy szedł gadziarz. Na górze odnosiło się wrażenie, że most jest zbyt wąski, że wystarczy się potknąć i polecisz w dół: na maleńkie dachy, krótkie uliczki, wąskie kanały, pianę drzew. Ale wokół roztaczało się takie piękno, jak w jakimś innym życiu. Wszystko było pobielone, nie istniały inne kolory, nawet na odległym słońcu.

Ośnieżeni Niezwykli palili fajki i spoglądali na Farcau w Górach Marmaroskich za doliną Białej Cisy. Rozmowa była dość prosta — kiedy Anna stanie się kobietą, to niech będzie Niezwykła. A póki co zawsze będą w pobliżu.

9. Dlatego też ukończony przez Franca film przypominał naszyjnik z węzełków.

Wyglądało to tak. Po całym ekranie bezładnie kotłowały się nieskończone ilości pojedynczych, drobnych znaczków. Wszystkie były elementarnymi symbolami, jakie Francowi udało się znaleźć na wzorach pisanek z różnych zakątków Karpat. Różne wielkości, konfiguracja, kolor i prędkość tego zatrzęsienia znaków przypominały nieprawdopodobną mieszaninę owadów. Dawały się rozpoznać drabiny, kliny, półkliny, kliny potrójne, czterdzieści klinów, żółtokliny, ząbki, kan-cik, kratka, nieskończoność, półnieskończoność, kę-

dzior, przerwa, krzyżyk, wydrapka, kreślak, zórzki, gwiazdy, słońce grzeje, półsłońca, księżyce, półksiężyce, sterna, księżyc świeci, księżycowe uliczki, tęcza, fasolka, róże, półróże, żołądź, kwiatuszek, aksamitka, kłosek, smreczki, sosenka, ogórek, gwoździki, barwinek, listki, owiesek, storczyk, bukowy, śliwowy, ziemniak, iglak, psie goździki, koniki, baranki, krówki, pieski, koziołki, jelenie, koguciki, kaczki, kukułki, żurawie, białe skrzydła, pstrągi, wronie łapki, baranie rogi, zajęcze uszka, wole oko, motylek, pszczoły, ślimaki, pająki, główki, wrzecionko, grabie, szczoteczki, grzebyki, toporki, rydle, łódeczki, flaszeczka, rzeszotka, skrzyńnię, popręgi, rzemyczki, bukłaki, klucze, paciorki, beczułki, kożuszki, prochownice, parasolki, obrazki, chusteczki, sznurki, miski, chatka, okienka, słupy, żłóbek, kościółki, klasztory, dzwonnice, kapliczki, wywijane rękawy, wyszywane rękawy, ukośny, ze wsi Ilci, dzióbkowy, krzyżykowy, ząbkowy, dziergany, przewlekany, panna młoda, kluczykowy, kreślaki, kropeczki, postrzępiony, skrzydlaty, ażurek, pajęczy, kwiatkowy, płaski, w cyferki, bukłaczek, tajemny, czereśniowy, malinowy, doniczka, kiełek, dziewczeczki, wiatraczek, pług, haczyki, pierniki.

Powoli ruch znaków nabierał pewnego uporządkowania — podobnie jeden silny wiatr składa się z wielu podmuchów. Symbole wirowały, jakby pełna wanna wody wylewała się przez maleńki odpływ. Stąd już wychodził łańcuszek znaczków, gdzieś tam powiązanych węzłami. Łańcuszek związał się w helisę i kręcił jak centryfuga. Swobodne symbole ściągały do niego

z chaosu i budowały obok łańcuch w takiej samej kolejności, coraz bardziej upodabniając jego obrót do obrotu pierwszego. Teraz obydwie helisy równocześnie wwiercały się w próżnię, zbliżając się coraz bardziej do siebie, aż zmieniły się w drzewo życia. Nastął spokój. Na drzewie otwierały się pąki, opadały płatki, z zalążków rodziły się owoce, napełniały się, pękały, i tysiące identycznych znaków powoli i równo opadały na ziemię, układając się w stos i tracąc kształt.

10. Z premierą Franciszek zaczekał do Wielkanocy 1900 roku. Pokaz uświetnił otwarcie kinematografu YUNIPERUS, zbudowanego według szkicu Anny, które poprzedzało odczytanie listu duszpasterskiego młodego stanisławowskiego episkopa, Andrija Szeptyckiego, do drogich braci Hucułów.

11. Od tamtej pory Niezwykli rzeczywiście byli stale gdzieś obok. To złudzenie, że Czarnohora jest pustkowiem. W rzeczywistości w Karpatach jest nawet za mało miejsca. Dlatego mieszkający daleko od siebie ludzie stale się spotykają. A co dopiero mówić o małym miasteczku u zbiegu górskich grzbietów.

Za kilka złotych z Dowbuszowego skarbu Niezwykli wykupili kawałek Rynku i wybudowali mały domek. Chatkę obłożyli dziwacznie pomalowanymi kafkami, tak że zrobiła się całkiem podobna do pieca. Na wszystkich oknach napisali tylko jedno słowo: „notariusz”. Na parapetach stały jednak całe rzędy różnokolorowych i różnokształtnych butelek i można było

pomyśleć, że NOTARIUSZ to nazwa jeszcze jednej knajpy. Lukač jakoś tak zrobił, że cały dach w tydzień obrósł bluszczem i nad drzwiami zawisła zielona kotara. W środku było pusto — naprzeciw maleńkiego stolika na bardzo wysokich nogach (z jedną szufladą) stał wygodny fotel, obity żaglowym płótnem.

W fotelu siedział sam notariusz, palił jeden za drugim grube skręty, wsunięte w srebrny pierścień, przyspawany do zwisającego z sufitu ołowianego pręta. Skręty nie były dłuższe niż pół zwykłej dłoni kobiecej. Notariusz zajmował się skręcaniem kolejnego papierosa, paląc poprzedni.

Już w młodości zdecydował, że będzie jakoś kierował własną śmiercią zamiast całkowicie zdawać się na niewiadomy los. Dlatego postanowił ustalić jeśli nie termin, to przynajmniej przyczynę zgonu. Został przy raku płuc i przestał się ograniczać w paleniu, skazując siebie na taką właśnie śmierć.

12. Wystarczyło jednak, by ktoś przyszedł, a notariusz wyjmował skręta z pierścienia, sadowił gościa w swoim fotelu, wysuwał szufladę, wyciągał dwie czerwone lub żółte słodkie papryki — zawsze świeże i soczyste — jedną ręką rozkładał duży scyzoryk, który kołysał mu się na rzemieniu przy kolanie, czyścił papryki, kładł na dłoni, pytał co podać — palinkę, rakiję, śliwovicę, becherówkę, cujkę, żubrówkę, anyżówkę, jałowcówkę czy borowiczkę — napełniał papryki, jedną podawał gościowi, stawał przy stoliku, wyciągał z szuflady kartkę papieru, zatemperowany oło-

wek, wznosił puchar, mówił: „daj Boże”, patrząc prosto w oczy, wypijał, odgryzał kawałek papryki, od razu nalewał po raz drugi, odpalał papierosa (zapałki trzymał w kieszeni spodni tuż przy pasie, a siarkę przyklejoną do jednej z nóg stołu), brał go do tej ręki, co puchar, a do lewej — ołówek, mocno zaciągał się dymem, i już był gotowy do słuchania.

13. Notariusza nazywano francuskim inżynierem.

Niezwykli znaleźli go w Rachowie i zaproponowali mu taką posadę, bo wyglądał skromnie i jednocześnie bohatersko. Kogoś takiego chce się zadziwić, opowiadając o własnym życiu. A Niezwykli potrzebowali jak najwięcej historii i bajek.

W Rachowie francuski inżynier nakłaniał ludzi do wyjazdu do Brazylii, sprzedając prawdziwe bilety na statek z Genui.

Kiedyś rzeczywiście był francuskim inżynierem. Spędził dwadzieścia lat w Indochinach, zajmując się systemami nawadniającymi, studiując palenie opium, tajski boks, motyle i orchidee oraz zen. Jednocześnie pisał etnologiczne i geopolityczne felietony do dużych gazet europejskich. Kilka jego listów przetłumaczył Osyp Szpytko. Opublikowało je „Diło”, podkreślając arystokratyczne korzenie autora, wywodzącego się z rodu Orłyków.

Niezwykli chodzili do Krzyworówni i poradzili Hruszewskiemu, by sprowadził francuskiego inżyniera do Lwowa. Przez Mandżurię, Turkiestan, Persję, Gruzję, Odessę, Czerniowce, Stanisławów, Halicz,

Rohatyn i Winniki dotarł w końcu i otrzymał pracę w komisji etnograficznej Naukowego Towarzystwa im. Szewczenki. Otrzymał honorarium równie wysokie, jak Szuchiewicz, i wyjechał na Huculszczyznę. Jednakże doświadczenie kilku małych wojen, na które w ciągu życia trafił, nie pozwoliły mu na przejawienie cech folklorysty. Francuski inżynier, nadkładając drogi, pojechał do Budapesztu i zdobył wszystkie konieczne papiery, zezwalające mu na werbunek imigrantów z terenu Austro-Węgier.

14. W Jałowcu francuski inżynier ubierał się jednako od 1900 do 1921. (Nawet po 1914 siedział w swoim gabinecie, słuchając i notując wszystko, co ludzie przychodzili opowiadać. Opowiadający otrzymywali przyzwoite honoraria, a zapisy z historiami i marzeniami, olśnieniami i szalonymi ideami analizowali Niezwykli). Szeroki biały, flanelowy strój bez guzików, biało-szałotowe pasiaste koszule, rozpięte na piersiach, korkowe sandały. Tylko w zimie otulał się liźnykiem, narzucając go na głowę jak kaptur.

To francuski inżynier nauczył Sebastiana, że samoświadomość mieści się w podeszwach, a postrzeganie siebie można zmieniać, stąpając w inny sposób lub po czymś innym.

15. Ideę nowego kierunku w filmie Franciszkowi podsunął właśnie francuski inżynier.

W Jałowcu działała nieduża galeria. Jej właściciel, Łoči z Beregszász, znajomy wielu dobrych mala-

rzy — Munkácsyego, Ustyjanowycza, Kopystynskiego; Romańczuka zaprowadził do Fed'kowycza, a dla Wodzyckiej (znacznie później, już po tym, jak wróciła z Paryża od Zuloagi) zrobił kilka szkiców fotograficznych do *Dziewczyny przygotowującej pisanki*. Z Iwanem Truszem byli blisko zaprzyjaźnieni. Łoči dużo mu opowiadał o tym, jak zniszczone i okaleczone przez ludzi krajobrazy ponownie opanowują rośliny. Prowadzał go nawet na sam szczyt Popa Iwana, na robienie szkiców. Po wielu latach Trusz wrócił do tego tematu w cudownej serii *Z życia pni*. To właśnie Łoči pierwszy pokazał komuś Dżembronię, która wkrótce stała się ulubionym miejscem wielu artystów szkoły lwowskiej. A Dzieduszyńskim do muzeum regularnie odsyłał znalezione huculskie rarytasy.

16. Sam Łoči przez całe życie malował jedno i to samo: drewniane obórki — osobna dla każdej krowy — na połoninie Szesul, uliczki z desek między nimi i gigantyczne skupiska szczawiu, metodycznie wyżerającego swoje siedlisko.

A że profesjonalnie podchodził do pracy w galerii, nigdy nie wystawiał swoich obrazów. Często się za to zakochiwał w cudzych. Obrazy-kochanki zabierał na jakiś czas do domu i żył w ich towarzystwie, nosząc ze sobą z sypialni do kuchni, z kuchni do gabinetu, z gabinetu do galerii, z galerii do łazienki.

I życie Łočiego w znacznym stopniu zależało od obrazu, który akurat z nim mieszkał.

17. W galerii działały się niezwykle rzeczy. Codziennie Loçi przewieszał obrazy, całkowicie zmieniając ich dialog. Często kupujący, wybrawszy obraz jednego dnia, nie mogli go następnego rana rozpoznać. Za sufit służył szklany zbiornik z deszczówką. Loçi zmieniał oświetlenie, nakrywając tę czy inną część zbiornika świerkowymi gałęziami. Co jednak najważniejsze — obrazy można było wypożyczać jak książki z biblioteki. Zamówienia najdroższego hotelu Loçi realizował sam, w zależności od zapowiadanej okazji.

18. Loçi był jedyną osobą w Jałowcu, u której dojrzewały szlachetne winogrona. Wino rosło wzdłuż ścieżki między domem a galerią. Idąc ścieżką, Loçi koniecznie musiał zerwać choćby jedną kiść winogron. Tak było od momentu, kiedy pojawiał się pierwszy załazek aż do ostatecznego dojrzewania owoców. Do września uchowywało się co najwyżej kilkadziesiąt kiści, za to wykorzystując siły, których nie potrzebowały zerwane wcześniej owoce, robiły się dojrzałe jak w Tokaju.

Choć Franciszek przyjaźnił się z Loćim, nawet się nie domyślał, że ten pracuje dla Niezwykłych.

19. Raz francuski inżynier powiedział Franciszkowi, co słyszał od Loćiego.

Ten opowiedział, jak do galerii przyszedł pewien dziedzic z Tereswy i poprosił o namalowanie obrazu, na którym byłoby to, co dzieje się z lewej strony za ramą płótna z bitwą pod Chocimiem, które kupił tu rok wcześniej. Dziedzic podejrzewał, że stamtąd może

strzelić armata prosto w konną ariergardę, i to nie dało mu spokoju.

To właśnie jest to, w czym animacja przewyższa obraz, powiedział francuski inżynier.

20. Franciszek wymyślił precyzyjniejszą metodę. Filmował powiększoną reprodukcję któregoś ze znanych obrazów — to była druga część każdego filmu. Do pierwszej i trzeciej dorysowywał 15-sekundowe ujęcia, pojawiające się przed i po sekwencji z obrazem. Na próbę wziął nowy pejzaż Trusza *Dniepr pod Kijowem*, choć najczęściej rozmyślał o *Straży nocnej* Rembrandta. Potem ożywił kilka martwych natur starych Holendrów (choć zniszczył je od razu, oprócz Adriaena van de Velde — tego z talią kart, fajką na długim cybuchu i orzechami laskowymi) i znakomity *Szynk* Adriaena van Ostade (jakaś karczma, pijani wieśniacy, baby trzymają dwóch szalonych mężczyzn, wymachujących nożami, wszystko poprzewracane, ktoś ucieka, reszta przywarła do podłogi).

Potem wziął się za Mamajów.

Żywe malarstwo cieszyło się tak szalonym powodzeniem, że na każdą premierę do Jałowca zjeżdżały się dziesiątki widzów z całej Europy Środkowej; pisały o tym stołeczne gazety, a Franc nie miał czasu na robienie jakichś poważniejszych filmów.

21. Jeszcze zanim Niezwykli odkryli zadziwiające właściwości snów Anny, Franciszek marzył o filmie, którego akcja toczyłaby się w krajobrazie ze snu.

Zauważył, że mechanizm snów na niczym innym nie polega, jak na łączeniu dobrze znanych elementów według zasad nieznannej logiki — tego, co w pojedynczym krajobrazie byłoby niemożliwe. Oznaczało to, że kluczem do tejże logiki jest łączenie krajobrazów. Najważniejsza jest kolejność łączenia. Jeśli się taki łączony krajobraz wykoncypuje, to zaludni się on automatycznie. A wtedy już wszystkie postaci nabędą nietypowych cech. I — co najważniejsze — postaci te wypełnią przestrzeń bardzo gęsto. Nieodpowiednia kolejność gęsta.

22. Dodatkowo — rozmyślał Franc — udane sny są podobne do dobrej prozy z porównaniami, z wytycznymi zaczerpniętymi z różnych systemów, wyrafinowanym wyodrębnieniem detali z panoramy, z wszystko dopuszczającą przejrzystością, niezapomnianym uczuciem obecności, jednoczesnością wszystkich tropów, niepowściągliwością tego, co nieoczekiwane, i oszczędną retoryką powściągliwości. I do dobrej trawy, która nic od siebie nie wnosząc, zrywa trzymające cię więzy i zmienia sztywną sieć czasu i przestrzeni ze stanu stałego w gazowy.

23. Na nakręcenie takiego filmu było się jednak trudniej odważyć niż na *Straż nocną*. Dlatego z czasem Franc przestał nawet przechowywać sny na potem, a tylko po nocach rozkoszował się nimi intensywnie.

24. W lipcu 1904 roku Anna opowiedziała pewien sen.

Stoję na równym dachu długiego piętrowego budynku. Budynek znajduje się na wodzie. Woda sięga aż do parteru. Do końca jego wysokich arkad. W wodzie pływają trzy głowy i stoi czapla. Jedna z głów podpływa pod arkadę. Druga próbuje stamtąd wypłynąć. Schodami z okna na piętrze schodzi do wody goły, brzuchaty mężczyzna. Stoję na samym brzegu. Ręce podniesione w górę. Złożone. Przygotowuję się do skoku z wysokości do wody. Tuż za mną stoi okrągły stół. Za nim beczka z dzbankiem. Przy stole siedzą mnich z mniszką i coś piją. Nad stołem, beczką i mnichami naciągnięty baldachim na suchej gałęzi. Z boku budynku nadbudowana kopuła z kapliczką u góry. Z komina kapliczki bucha ogień, z okna wygląda baba. Patrzy na mnie. Daleko za kopułą szeroka rzeka, zielony las i wysokie, niebieskie góry, jak nasze. Z drugiej strony budynku dobudowana okrągła wieża. Na jej ścianach namalowane ludziki. Ludziki tańczą, skaczą i przewracają się. Jeden sięga do nieba po jakąś książkę. Dwaj niosą na ramionach na drągu ogromną malinę. Szczyt wieży zniszczony i wyszczerbiony. Pomędzy szczerbami rosną maleńkie drzewa, pasie się koza. Woda przed budynkiem kończy się długą wyspą. Wyspa jest naga, z czerwonej gliny. Na końcu wyspy stoi wiatrak. Za wyspą znowu woda. Za wodą miasto. Nad samą wodą dwie wieże, między nimi kamienny most. Na moście tłum ludzi z uniesionymi spisami. Niektórzy stoją przy poręczy i patrzą ponad wodą w moją stronę. Na jednej

z wież płoną gałęzie. Pod wieżami pływają jakieś zwierzęta. Mężczyzna z mieczem i tarczą walczy z jednym z nich. Dalej za wieżami pusta piaszczysta przestrzeń. Pośrodku stoi wóz na dwóch kołach. Jeszcze dalej — miasto. Domy o ostrych dachach, wysoki kościół, mur. W oddali wysokie wzgórza albo niskie, zielone, bezleśne pasma górskie. Na samej górze znowu ogromny wiatrak. Na prawo ode mnie, już za wodą i wyspą, na brzegu stoją jakieś postaci. Plecami do mnie. Niektórzy siedzą na koniach i jakichś niezrozumiałych stworzeniach. Jeden w zbroi i hełmie, drugi ma na głowie pusty pień. Między nimi uschłe drzewo. Połowa drzewa okryta czerwoną zasłoną. W dużym pęknięciu w drzewie stoi naga kobieta. Na górnej gałęzi siedzi dziecko, ale bardzo duże. Jakiś mężczyzna przystawia do drzewa drabinę. Dość daleko za nim siedzi na kamieniu brodaty mężczyzna w mnisim habicie z laską w ręce i patrzy w księgę. Jest podobny do mojego świętego Antoniego.

Przez okno w okrągłej wieży, o której już mówiłam, widzę, że za wieżą dzieje się coś ważnego. Niczego jednak nie mogę dojrzeć, i to mnie dręczy. Ale i tak jest mi dobrze pośród tego całego ruchu. Sekundę patrzę przez ramię i widzę w oddali pożar. Od niego skóra na plecach i nogach robi się gorąca. Rozumiem, że trzeba się schronić w wodzie. Już szykuję się do skoku, ale spoglądam w dół i widzę sterczącą ostrą pikę. Nie wątpię, że ją przeskoczę. Nadal jednak stoję. Ręce już trochę ścierpły, bo wciąż są wyciągnięte. Nagle na plecy nasuwa się cień i robi się chłodniej. Patrzę

w górę. Akurat nade mną przelatuje w powietrzu zakuty w zbroję żaglowiec. Widzę jego dno. To statek napowietrzny. Przeleciał. Cień zniknął. Znowu zaczyna parzyć. Już silniej. Chcę zrobić krok, ale widzę człowieka z aparatem.

Cały czas chował się w ciemnym kącie między moim budynkiem a dobudowaną wieżą z oknami i rysunkami ludzików. Nie chcę, żeby zrobił mi zdjęcie, i krzyczę na niego. Mężczyzna przecząco macha rękami i wskazuje na przelatujący statek. Wszystko się we mnie zgadza — to rzeczywiście ciekawe. Mężczyzna chowa aparat w ścianie. Idzie wzdłuż wieży i znika za zakrętem. Staję na palcach. Biorę rozbieg i skaczę. Widzę przed sobą tę lancę. Podnoszę się całym ciałem, próbuję ją ominąć. Ale ciało nie rusza się z miejsca. Ani nie lecę, ani nie spadam. Zaczynam kaszleć. Bardzo szybko lecę wprost na pikę. Uderzam w nią palcami rąk. I teraz się budzę.

25. Sen Anny wydał się Franciszkowi na tyle plastyczny, że z miejsca spróbował go naszkicować. Anna od razu poprawiała rysunek. Kiedy doszli do ludzi przy drzewie na brzegu i mężczyzny z książką za nimi, Franciszkowi się wydało, że gdzieś już coś podobnego widział. Tylko perspektywa była inna. Wystarczyło jednak, by Anna pomalowała rysunek kolorowymi kredkami, a rozpoznał Boscha. Bez najmniejszych wątpliwości — *Kuszenie świętego Antoniego*.

W Laroussie Boscha reprezentował *Wędrowiec* z kolekcji madryckiego Eskurialu. Innych reproduk-

cji Anna nie mogła widzieć, Franc był tego pewien; zawsze pozostawali razem. Nikt w ciągu całego życia Anny nigdy nie opowiadał o *Kuszeniu...*, z pewnością od czasów szkoły Franc nie słyszał choćby wspomnienia czy aluzji na ten temat. Widocznie było tak, jak mówiła wieszczka — sny Anny mówią o tym, jak mogłoby być.

Franca to jednak nie uspokoiło. Pobiegł do Loćiego i poprosił o niezwłoczne zamówienie albumu Boscha. Franc skłonny był czekać długo, byleby się tylko dowiedzieć, że coś się święci. Loći obiecał zamówić album zaraz następnego dnia. I powiedział, że ma w bibliotece Boscha, ale tylko jedną reprodukcję — *Kuszenie świętego Antoniego*.

Anna bez wahania wskazała swą nagą postać w prawym górnym rogu, na środkowej tablicy.

Kiedy oboje rozpoznali Niezwykłych w dwóch z czterech centralnych postaci, przechodzących przez most na lewym skrzydle tryptyku, Franciszek obiecał sobie, że zrobi ten film.

26. Pracowało mu się ciężko jak nigdy. Franciszka męczyły wątpliwości. Bez przerwy rozmyślał, czy będzie w stanie oddać nastrój, kolor, atmosferę, czy potrafi rozszyfrować wszystkie tajemne znaczenia, czy można coś takiego pokazywać, czy Bosch nie wygląda śmiesznie i niesmacznie, czy to nie grzech przerysowywać wszelkie nieczystości i sodomie, czy nie obrazi Niezwykłych, czy nie ściągnie na Annę biedy, czy nie wyrządził komuś krzywdy, świadomie bądź nie, czy

sztuka ma sens, czy dożyje końca pracy, czy na pokazie nie stanie się coś złego, czy nie będzie umierał w mękach, czy spotka się po śmierci z rodzicami, czy czeka tam na niego Anna, czy jego naród będzie kiedyś szczęśliwy, czy jest na świecie coś piękniejszego niż nasze Karpaty, czy warto tak dużo myśleć, czy warto wszystko zapamiętywać, czy dobrze jest wszystko wszystkim opowiadać, czy koniecznie trzeba mówić ładnie, czy myślą rośliny, czy istnieje jutro, czy nie było już końca świata dawno temu, czy długo jeszcze wytrzyma bez kobiety, czy nie jest we władaniu szatana.

27. Ścisła odpowiedź na ostatnie pytanie byłaby odpowiedzią na wiele innych. Bez względu na to, że Franc był zadeklarowanym grekokatolikiem — w częstych dyskusjach w ginowym kurorcie swoimi argumentami zabijał manichejczyków, katarów, albigensów i niczego się w świecie nie bał, bo pewien był poprawności Bożego zamysłu — podczas pracy nad nowym filmem diabeł zjawił mu się trzykrotnie.

28. Za pierwszym razem nie ukazał się, a w bardzo lakoniczny sposób przejawiał swoją obecność. Był jak magnes.

Francowi śniło się, że leży na podłodze. Nagle bez wykonania najmniejszego ruchu, nawet bez napinania mięśni, przesunął się po podłodze do ściany. Potem w drugą stronę. Potem znowu i znowu, z przerwami, szybciej i wolniej. Tak jakby był metalicznym opiłkiem na kartce papieru, pod którą ktoś porusza magnesem.

Raz przesunął się nawet w górę po ścianie — nadal leżąc — i delikatnie opadł na podłogę.

Potem diabeł poprosił, żeby uważnie śledził to, co się będzie działo. Przesunął Franca do kąta. Okazało się, że śpi tam jego nauczyciel. Franca coś pociągnęło do nauczyciela i od razu odrzuciło w tył. Nauczyciel, nie dotykając ciała Franca ani się nie budząc, pojechał za nim. Widzisz, powiedział diabeł.

Głosu Franc nie słyszał, ale to, co diabeł mówił, skądś wiedział.

29. W drugim i trzecim śnie diabeł wykorzystał różne odmiany jednej i tej samej zasady.

Drugi sen był najkrótszy. Franc stał na ulicy w Jąłowcu (miejsce było prawdziwe, dobrze je znał). Czekał na swoją Annę, która już pojawiła się na końcu ulicy. Nagle podjechał do niego pancernik Bedy. Beda wychylił się z górnego wjazdu i powiedział, że przywiózł kogoś, z kim zaraz będą pić gin. Z bocznych drzwi wyszedł jakiś Pan i podszedł do Franca. Anna była coraz bliżej. Pan stał tyłem do Anny i pancernika. Wyjął z wewnętrznej kieszeni butelkę, odkorkował ją i podał Francowi. I wtedy wszystko się stało. W ciągu tych kilku sekund, kiedy Anna z Bedą zbliżali się do nich, Franc zdążył zobaczyć, jak kilka tysięcy razy zmienia się twarz Pana, kilkaset razy kamizelka pod rozpiętą marynarką, kilkadziesiąt razy kształt butelki i kilkanaście odcień napoju. Kiedy przestali być sami, kalejdoskop ustał. Pan się uśmiechnął, uśmiechali się Beda i Anna. Franc wypił pierwszy. Smak przypomi-

nał renklody. Butelkę przekazał Bedzie, a ten Panu (w końcu Beda ich ze sobą nie poznał). Kiedy kolejka doszła do Anny, Franc nagle krzyknął, żeby nie piła. Nikt poza Anną się nie zdziwił ani do niczego nie namawiał. A Franc niepostrzeżenie, ale bardzo mocno ścisnął ją za palec. Już wiedział, kto to.

30. Po trzecim śnie Franciszek poszedł na wysoki most i opowiedział Niezwykłym o Boschu. A jednak na wieży — powiedział Niezwykły od błędzenia. Franc zapytał, czy może pokazać skończony film. To zależy tylko od ciebie. Choć pomyśl, może nie godzi się pokazywać naszych twarzy tam, gdzie się wam ubzdurało. A na razie idź do domu i pilnuj Anny, my musimy trochę powędrować światami, ale ona wkrótce stanie się kobietą i będzie wiedzieć, gdzie nas szukać, powiedział szeptuch.

31. W domu Franciszek spalił rysunek, na którym narysował sen Anny.

Żeby być szczęśliwym, powiedział Annie, trzeba żyć bez tajemnic, a z cudzych znać jedynie te, które można wyjawiać podczas tortur.

Bardzo się bał, że Niezwykli wcześniej czy później mogą przyjść po film, dlatego przykazał Annie nigdy nie wspominać o jego istnieniu. Gdyby jednak ktoś zechciał się dowiedzieć czegokolwiek za pomocą tortur, to zaraz trzeba wszystko opowiedzieć. Nie próbować oszukiwać, tylko powiedzieć prawdę. Dlatego musisz wiedzieć, że wszystko zniszczyłem.

Franc wszadził film do kapciucha i wyszedł za miasto, żeby go spalić, rzucić w przepaść albo utopić w kwaśnym źródle.

Po drodze pomyślał: jak by tam Anny nie męczyli, powie prawdę — filmu nie ma. Paradoksalnie to będzie jedyna prawda, w jaką oprawcy nie uwierzą, i nie przestaną Anny torturować.

W takim razie szkoda filmu. Może akurat się kiedyś przyda. Niech się znajdzie ktoś, kto popatrzy, przeanalizuje, dokładnie przemyśli i zrozumie: co to za jedni, ci Niezwykli, i w jaki sposób kręcą światem. Przecież zawsze się w końcu okazuje, że wszystko i wszyscy na świecie połączeni są ze wszystkim — nie więcej niż czterema ruchami.

32. Franciszek wszedł do lasu bukowego, w którym każde drzewo miało pod korzeniami jamę. Przewiązał sobie głowę długim kawałkiem sukna, żeby widzieć tylko, gdzie stawiać kroki, i zaczął biec na oślep przez las. Kilka razy i tak wpadł na drzewo, ale to nic, bo oczy miał bezpiecznie zasłonięte. Biegł w górę i w dół, póki w środku kaptura wszystkie dźwięki świata nie zmieniły się w chrypienie z głębi płuc. Dopiero wtedy się zatrzymał, nie otwierając oczu, wymacał drzewo, znalazł między korzeniami jamę i wepchnął kapciuch z filmem do dziury, głębiej niż na półtora łokcia. I teraz powoli wyszedł z lasu. W tej okolicy można to było łatwo zrobić po omacku. Trzeba iść w górę, orientując się po nachyleniu stoku. Na górze Franciszek zdjął oszronioną szmatę i popatrzył na las. Wszystkie drze-

wa były jednakowe i obce; między nimi wiły się w nieskończoność splątane linie śladów, oczy bolały od bezwstydного księżycowego światła.

33. Oczywiście była zima. Oczywiście — padał śnieg. Można było wrócić, łowiąc śnieżynki zaschniętymi wargami.

34. W domu Franciszek nie poczuł zapachu córki i pomyślał, że faktycznie żyje po końcu świata, który właśnie nastąpił. Słyszał było jedynie chlupotanie wody w głębi kanalizacji, kurczenie się metalu w drzwiczkach stygnącego pieca, ultradźwiękowe wibracje szyb, pachniało siarką i węglem — zmieniało się ciśnienie.

Franciszek odważył się wyrzucić przez niedomknięte drzwi balkonowe. Kołdra rozłożona w ogrodzie wyglądała jak bolesna plama. Na kołdrze spała przyprószone śniegiem mała dziewczynka, która jeszcze nigdy nie zasnęła bez taty. Żeby powstał przeciąg, trzeba trochę czasu. Dlatego Anną zapachniało dopiero po minucie. Franciszek poczuł, że nie chce, by stała się kobietą.

35. Po tej nocy Niezwykli naprawdę opuścili Jałowiec, jakimś cudem zarzucając sznurową drabinę na wiadukt. Francuski inżynier został, nawet na dzień nie przerywając pracy. Franciszek rzucił animacje. Teraz z Anną i Serbem Łukačem, którego całe dotychczasowe przemieszczanie się uzależnione było od sadze-

nia lasów, zajął się przygotowaniem miasta. Trochę pił (okrągły stolik w barze dzielił na pół równikiem kieliszków i nie wychodził, dopóki nie opróżnił wszystkich). Wystrzegał się jednak wszelkich ginowych kuracji.

Zbudował oranżerię, gdzie hodował tropikalne rośliny. Śledził zmienne podobieństwo dzieci psa Łukača, którego musiał zabić w oranżerii. Czasem brał do każdej ręki po barcie i tak biegł aż na Menczuł. Stamtąd przynosił świeżą bryndzę, zarzucając barty z przywiązanymi berbenicami na ramiona jak korymśło. Wywiadów udzielał niechętnie, za to bardzo się do nich przykładał. Podkreślał zwłaszcza, że rysował różne filmy, aby na różne sposoby spróbować życia.

36. W 1910 roku do Jałowca specjalnie przybyli posłowie do wiedeńskiego parlamentu, Mykoła Łahodynski i Wasyl Stefanyk, żeby namówić Franciszka do powrotu do pracy twórczej. Franciszek niczego nie odmawiał i niczego nie obiecywał. Posłów przyjął nie w domu, a w hotelu CPC, co znaczyło „Czeremosz, Prut, Cisa”.

Łahodynski wspominał później, jak Franciszek Petroski mówił, że państwo ukraińskie zaistnieje dopiero wtedy, kiedy podstawą jego geopolityki stanie się kierunek karpacki, karpacka kosmogonia modelem ideologii, a same Karpaty — rezerwatem przyrody (Franc nie do końca wierzył w to, co sam mówił, bo nienawidził huculskiego dążenia do wyrąbania w ciągu życia jak największej ilości drzew i huculskiego braku

zrozumienia, że coraz więcej śmieci nie nadaje się do wyrzucania do wody).

37. Sam Stefanyk swoim wiedeńskim znajomym o Franciszku opowiadał nieco więcej. Każdy człowiek — tak mówił Franciszek — w ciągu życia może stworzyć książkę. Mówię: książkę, choć zaczęliśmy rozmawiać o filmach. Każdy — i tylko jedną. Ci, którzy sądzą, że napisali wiele książek, są w błędzie — wciąż powstaje tylko ta jedna. Nie wyjdiesz poza swoją książkę, czego byś nie robił. Można podrabiać, ale nie tworzyć. Twoja jedyna książka ograniczona jest twoją barwą głosu, intonacją, artykulacją. Przeznaczenie to sposób mówienia. Choć na świecie jest nieskończoność książek, naprawdę dobrych tylko skończoność. Musi ich być skończoność, tak jak tamtych nieskończoność. Tego uczą rośliny. Gdyby dobrych książek była nieskończoność, świat albo stanąłby, albo przepadł. Ja swoją książkę napisałem. Nie wiem — dobrą czy złą — ale napisałem. A to jest tak, że nie ma znaczenia — dopisałeś czy nie dopisałeś, przepisałeś czyś się tylko przymierzał. Twoja książka może być i jednostronicowa, i jak cały regał tomów. Jest głos, i to wystarczy. Wątki potrzebne są dla własnej ciekawości. Wątków się nie wymyśla, wątki nie znikają. Są i są. Mogą jedynie zostać zapomniane. Wszystko, czego się nauczyłem i co zapamiętałem z życia, to kilka krajobrazów, oznaczających radość myślenia, kilka zapachów, które były uczuciami, kilka ruchów wchłaniających w siebie uczucia, kilka rzeczy, przedmiotów,

będących ucieleśnieniem kultury, historii, cierpienia, to wiele roślin, będących dostępnością piękna, mądrości i tego wszystkiego, w porównaniu z czym w ogóle nie istniejemy. I wiele, wiele intonacji. Niepowtarzalnych, podobnych intonacji, o których nie wiem, co znaczyły. Może to po nich będziemy rozpoznawać się tam, gdzie nic poza głosem nie zostanie.

38. Stefanyk cieszył się też z tego, że gdy Łahodynski poszedł na spoczynek, zaczęli o sobie różności wygadywać: ty ślepaku, dziadu, głuchoto, bachorze, mamrotniku, mruku, jakało, zezulcu, pomyleńcu, wałkoniu, podżegaczu, leserze, gałganie, kupczyku, przybłądo, babiarzu, dorobkiewicz, dolanie, górzanie, Bukowińcu, Bojku, Łemku, Hucule — i zasnęli.

39. A dwa lata temu Franciszek po raz pierwszy zaprowadził Annę w miejsce, z którego sam wrócił piętnaście lat wcześniej. Anna nie zdążyła pójść tam ponownie. Od tego jednak wzięła początek jedyna w ich rodzinie tradycja.

Jesienią 1913 Anna wciąż nie była kobietą. Wkrótce nad Jałowcem przeleciały ptaki zdążające do Afryki. Franciszek poczuł: jeszcze trochę i zapłaczę. Nic, co najważniejsze, nie dzieje się z naszej woli, pomyślał i poprosił Annę, żeby przygotowała dużo kawy i wycisnęła sok z czterech grejpfrutów, dużych jak małe dynie.

Franciszek złapał się na tym, że zamykając oczy, nie może sobie przypomnieć dokładnej panoramy wszyst-

kich okolicznych gór, podobnie jak dawniej zaczął zapominać wszystkie niezapomniane piersi kobiece, które znał. Dlatego musiał wejść na skałę, spojrzeć na to, co tak kochał. A że kawa z sokiem będzie czekać na niego w domu, chciał się upewnić przed wyjściem na spacer.

40. Do domu wrócił — przypominając sobie wszystkie szczyty — już z Sebastianem. Zaproponował, by ten spróbował pomieszkać w Jałowcu. Anna pościeliła jeszcze jedno łóżko w wolnym pokoju. Cemuś od rana miała przy sobie zapasowy klucz.

Franciszek poczuł, że zapach Anny przestaje być dziecięcy i Niezwykli mogą przyjść lada moment, bo krew gościa jak zaraza już w powietrzu zaczęła mieszać się z krwią kobiet jego rodu.

Sebastianowi tak chciało się spać, że z wdzięcznością przyjął zaproszenie Franciszka do Jałowca.

Z kolei Anna myślała, że niełatwo mu będzie jednocześnie odgrywać rolę przyjaciela ojca i męża córki.

Nagie gałęzie winorośli stukały w okna, pod którymi stało łóżko. Sebastian zauważył, że rytm ich uderzeń może służyć za wiatromierz.

OBFITOŚĆ DNI

1. O świcie Franciszka zbudził zupełnie nieznany zapach. Początkowo sądził, że stał się cud i zamiast spodziewanej zimy, która miała przynieść jakiś sens, nadeszła pora czerwcowych deszczy i nadmiaru zieleni. Jednakże kiedy nad ranem Anna weszła do ich pokoju, Franciszek zaprowadził nowy kalendarz zapachów, w którym miały one odmienny porządek.

Rzeczywistość istnieje dla tych, którym brak Anny.

2. Sebastian pierwszy i ostatni raz w swoim życiu kochał się z kobietą, którą znał ledwie od kilku godzin.

Nawet w Afryce było inaczej. Choć jednym spojrzeniem wybierał kobiety, które później stawały się jego, pewien był, że nigdy nie zdążą się pokochać. Może przez dłuższy czas będą o sobie dbać, rozmawiać o dzieciństwie i w taki sposób opowiadać sobie książki, że ilość przeczytanych rzeczy z miejsca się podwoi; będą dawać sobie jedzenie, myć się i ogrzewać wzajemnie, pokazywać to, co widzieli z różnych stron drogi. Dopiero później się to okazywało; współistnie-

nie zakłada bowiem jeden nieprzewyciężony kierunek. Jeśli oznacza miłość nie do siebie, a do innej osoby, tym samym przewiduje zwiększenie dostępu do terytorium tego drugiego. I można dojść do miejsca, skąd zwiększanie dostępu możliwe będzie już tylko w głąb, pod skórę. Właśnie coś takiego spotkało Sebastiana.

Wracając do kobiet — żadna z nich, na widok Sebastiana, nie poczuła przemożnego pragnienia pójścia z nim do łóżka. Nieodwracalność tego rodziła się powoli — wystarczyło przez chwilę pobyc obok niego. Tak właśnie działo się w Afryce. Zresztą Sebastian tylko z Afryki znał te rzeczy.

Aż przenocowawszy w Jałowcu, ostatecznie przekonał się, że jego Europa istnieje.

3. W nocy spadł śnieg i dał początek zimie, która tego roku trwała do połowy kwietnia. Z powodu właściwości zimy — jest bardziej różnorodna niż wszystkie pozostałe pory roku — każdy jej dzień był całkowicie odmienny.

I nie było im dwa razy jednakowo dobrze.

4. Anna nie mogła uwierzyć, że tak niesamowite podobieństwo w ogóle istnieje — wygięcia linii ciała powtarzały się; wginały lub wyginały dokładnie w ślad za sobą, nakładały się tak, iż dwie powierzchnie nie czuły ani siebie, ani tej drugiej, a jakąś trzecią, tak doskonale subtelnią, że zginała się, wginała i wyginała niezależnie.

Taka jednia nie zdarza się przypadkiem. Coś jak nieskazitelna doskonałość, doskonała nieskazitelność,

która tak łatwo przekazywana jest z jednego na drugie i na kilka pokoleń do przodu.

Miłość nie przewiduje wzajemności, powiedziała Anna, i Sebastian milczał, bo uświadomił sobie, że odpowiedź też nie jest jej potrzebna. Wydało mu się, że coś się w świecie poruszyło, że on sam naruszył świat. I choć miłość nie ma przyszłości, nie dopuszcza wykorzystania czasu przeszłego, wyłącznie z Anną był w stanie wyobrazić sobie siebie na starość.

Anna otworzyła okno. Teraz nie słychać było winorośli, bo kołyszące się gałęzie wpadały do pokoju. Wiatr ucichł, nie dlatego jednak, że na dachu nie było kogutka — zaczął sypać tak ciężki śnieg, że w końcu przegniótł wiatr do ziemi i nakrył sobą. Podobnie dostojnie i nieśpiesznie śnieg wpadał do pokoju, osiadał na łóżku. I dlatego było na nim sześć cieczy — ślina, krew, woda ze śniegu, pot, wilgoć Anny i sperma Sebastiana.

5. Rano zjedli śniadanie we trójkę. Musieli siedzieć rzędem wzdłuż wąskiego, długiego stołu, jednym bokiem przysuniętego do okna. Sebastian prawie nie pachniał Afryką. A z palców nie znikał zapach śluzu Anny, i dlatego Franciszek próbował ustalić, jak powinni siedzieć: on–Anna–Sebastian, on–Sebastian–Anna czy Anna–on–Sebastian.

Anna otrzymała list od starego Bedy; tym razem napisany był na opakowaniu z takiej samej herbaty, jaką podała mężczyznom na śniadanie. Zastanawiała się, co odpisać Bedzie, skoro nie miała więcej pytań.

6. Tej zimy Franciszek uprzytomnił sobie — nie ma żadnej swojej fotografii do hasła w Laroussie. Można było pójść do Kameleona i sfotografować się, ale Franc dobrze wykoncypował, że skoro samych wariantów hasła jest kilkaset, to nawet najlepszy portret będzie najwyżej przypadkowy. Trzeba mu było fotografować się za każdym razem, kiedy pisał hasło. (Wymyślił przecież kiedyś taki film — fotografował jedną i tę samą osobę każdego dnia w jednej i tej samej pozie, i w tym samym miejscu w ciągu dwu lat, potem z różną szybkością puszczał ów ciąg zmian ewolucyjnych. A w kontekście ewolucji szczegóły stają się bardzo ważne).

Dlatego Franc uciekł się do dziwnego sposobu — nie tylko nadrobić stracone, ale odnaleźć coś niespodziewanego.

7. Po śniadaniu (pogodziwszy się z tym, że Anna już zawsze będzie siedzieć obok innego mężczyzny, Franc w końcu zdecydował — najwłaściwsze będzie, jeśli Sebastian usiądzie pośrodku; on sam musi być blisko Sebastiana, żeby się wygodniej rozmawiało) zabrał Annie drugi klucz od pokoju Sebastiana, bo więcej nie było potrzeby go zamykać; sam nie będzie do niego wchodził. Przeczytał list od Bedy i powiedział, że kiedyś już jej to opowiadał, bo opowiedział jej wszystko, co wiedział, i że Anna wie to, o czym napisał stary Beda. Widać była za mała, kiedy to właśnie wspomnienie opowiadał, i zapomniała. Jeśli zechce, będzie mogła wysłuchać wszystkiego ponownie, kiedy — koniecznie — opowie całą ich historię Sebastianowi.

Wtedy wyciągnął spod łóżka schowany tam na lato kozuch i poszedł do hotelu Union, gdzie w pokoju na pierwszym piętrze już od kilku lat mieszkał jedyny w Jałowcu najemny zabójca.

8. Stefan bardzo się zdziwił, kiedy do jego numeru wszedł Franciszek — Franc, nie potrzebując najemnika, mógł zabić w Jałowcu każdego — był zbyt poważany. Stefan akurat wrócił z udanej akcji w Kosmaczu i musiał trochę popracować nad strzelbą.

Tuż przed przyjściem Franca zdążył być na mszy, a nawet przystąpić do komunii. Nie połknął jednak hostii. Przyniósł ją w ustach do hotelu i wetknął w dziurę, którą uprzednio wywiercił w ścianie. Nabiał gwintówkę, podszedł do przeciwległej ściany i wystrzelił, celując w dziurę. Dobrze, że trafił. Ten strzał Franc usłyszał między parterem a pierwszym piętrem, w windzie, którą dwaj robotnicy podnosili w górę, kręcąc korbą pod samym dachem. Stefan odłożył broń i zaczął zbierać krew ściany. Franc otworzył drzwi. Teraz trzeba było nasmarować strzelbę zebraną krwią, ale Stefan nie chciał tego robić przy Franciszku.

9. Franciszek szybko sprecyzował swoje zamówienie.

Chce, by Stefan niepostrzeżenie — jak to znakomicie potrafi — śledził go. Śledził jak zabójca. Szukał dobrych miejsc i momentów do strzału. Ale zamiast strzelby ma mieć aparat fotograficzny. Franc daje Stefanowi trzy miesiące. Potem zabiera sto swoich fotografii i wypłaca należność. Najważniejsze, żeby ani

Franciszкови, ani nikomu innemu nie dał się zauważyć. Usłyszawszy wielkość honorarium, Stefan przystał ochoczo, nie dbając, że nie ma bladego pojęcia, jak wygląda aparat.

Właśnie dzięki nieodpowiedzialności Stefana wiele osób przeżyło. Stefan — jak przystało na Ukraińca — stale brał na siebie więcej zobowiązań, niż był w stanie wykonać. Na realizację niektórych czekało się latami, a inne szły po prostu w zapomnienie. Teraz jednak Stefan rozumiał, że ze zleceniem Franciszka nie można zwlekać. Mówiło się, że Franc zna osiemnaście słów, przed którymi strzelba drży, a ofiara, płacząc, sama przychodzi i staje tak, żeby można było wycelować prosto z okna.

Franc pokazał, jak obchodzić się z aparatem, i poszedł. Stefan szybko nasmarował krwią ściany całą gwintówkę. Wiedział, że to ciężki grzech i że zaprzedał się biesowi, ale zawsze tak robił, żeby strzelba nie chybiła. Zwłaszcza po tym, jak zboczy się krwią.

10. Każdego dnia Franc brał Sebastiana na spacer po Jałowcu. Mróz trzymał i ślizgawki nie topniały nawet w słoneczne dni. Wreszcie Franc miał z kim rozmawiać — okazało się, że Sebastian jako prawdziwy strzelec umiał widzieć równie dużo. Zdawało się, że powinni toczyć jakieś niekończące się ważne rozmowy, bo problem Europy Środkowej polega na stylistyce, ale nie — kilka słów, pokazywanie dostrzeżonych rzeczy.

Kiedy wstępowali do barów, pili gin rozcieńczony wrzątkiem, popijając go wyłącznie świeżym sokiem

z przemarzniętych jabłek, zostawionych jesienią na drzewach i dopiero zebranych spod śniegu.

Czasem chodzili do miejsca, gdzie zginęła najpierwsza Anna, i Franc rysował na śniegu coraz to inne wersje historii rodzinnej. Są rzeczy ważniejsze od przeznaczenia, mówił. Może kultura. A kultura — to ród, świadome trwanie w nim. Franciszek poprosił, by dzieci Sebastiana i Anny koniecznie przyszły w to miejsce. Oraz tam, gdzie Franc spotkał Sebastiana (o mały włos nie wspomniał też o bukowym lesie z ukrytym filmem, ale powstrzymał się w porę, bo w końcu niezbyt wiele wiedział o tych Niezwykłych), zaś inne miejsca pojawiają się z czasem. Przecież czas to ekspansja rodu w geografii.

11. Były dni, kiedy Sebastian brał ze sobą afrykański karabin. Na wyjątkowo stromych zboczach wygodnie się było nim podpierać. Za którymś razem gawędzili o swoich marzeniach. Nic dziwnego, że marzenie Franca okazało się bardziej skomplikowane.

Sebastian marzył o tym, by być starym, żyć na małej wysepce-skale na ciepłym morzu, cały rok chodzić tylko w płóciennych spodniach, ale chodzić mało, a przeważnie siedzieć na kamiennej ławce obok białej pustej chaty, cały dzień pić czerwone wino i jeść suchy kozi ser, i patrzeć na kilka krzaczków pomidorów, lecz nie na morze, w którym kąpałby się co noc, dopóki pachnie maciejka.

Franciszek z kolei marzył o kobiecie z kilkoma parami piersi.

Nagle Sebastian pochylił się, uderzył Franca głową w brzuch, Franc stoczył się z wzniesienia, a Sebastian poleciał przez ramię i leżąc na plecach, wystrzelił z zapchanego śniegiem karabinu. Na odległym wzgórzu coś brzdęknęło. Leżeli przez chwilę, potem tam poszli i znaleźli przestrzelonego Stefana z roztrzaskanym aparatem.

Sebastian wziął błysk obiektywu za odbłask lunety. Stefan przegapił najważniejsze: nie daj się zauważyć — mówił Franciszek. A za gapiostwo trzeba ponosić konsekwencje.

To już inna sprawa, że w ten sposób Franciszek został bez fotografii do encyklopedii. Na szczęście wciąż interesowała go redukcja.

12. Po tym zdarzeniu Anna zapragnęła nauczyć się strzelać.

13. Najpierw trzeba polubić swoje ciało, powiedział Sebastian.

I miejsce, w którym wszystko ma się odbyć.

Bo ciało to brama mózgu.

Jeśli chcesz dobrze i szybko myśleć, musisz mieć zawsze otwartą bramę.

By myśli mogły swobodnie wchodzić i wychodzić.

Myśli to to, co z tego miejsca przyptywa, przefiltrowuje się przez ciało i przez ciało wycieka.

Luźny związek transferów donorowo-akceptorowych.

Leżeć w wodzie i nie słuchać jej zapachu.

Patrzeć pod trawę i nie czuć jej smaku.

Słyszeć spojrzeniem, jak smakuje to, co czujesz w dotyku.

Brama otwiera się tylko wtedy, kiedy ją lubisz.

Otwórz się, zawsze tak wspaniale się otwierasz.

Paznokciami można drapać, ale też można się nimi przytrzymywać.

Przedłużaj spojrzenie, utrzymuj spojrzenie, wytrzymuj spojrzenie.

Z ciała na karabin przenieś pragnienie, by być tam, gdzie nie dosięgniesz.

Jeśli polubisz miejsce, stanie się ono przedłużeniem twego ciała.

Strzelasz nie ty, a rzeźba terenu.

Myśli nie głowa, a ciało.

Dolatuje nie kula, a myśl.

Każda myśl jest pragnieniem, które potrafiło wejść i wyjść przez bramę.

Co możesz zrobić sama, zrób bez nikogo.

Mów to, co myślisz, a myśl tak, jak właśnie poczułaś.

Płacz z powodu czułości, bo inaczej nigdy nie będziesz silna.

Uważaj na oddech, tylko on może dyktować rytm.

Stale miej na uwadze drzewa; zawsze znikają i pojawiają się najniezawodniej.

Kiedy jesteś bardzo zmęczona, przestań być niezłomna i zaśnij.

Dosięgnij wargami swego środka.

Strzelanie w okna jest jak zagładanie w nie.

Spróbuj zrozumieć, jak czarni tworzą jazz.

Otwartość. Szczodrość. Wdzięczność.

14. By nauczyć się tych i innych szczegółów sztuki strzelania, należy bez zastrzeżeń przyjąć surowy reżim — stale się kochać, i tylko na świeżym powietrzu. Długo, lekko, mocno, szybko, delikatnie, uparcie, niezgrabnie, pięknie, mądrze, uważnie, bardzo uważnie, mądrze i pięknie. Na ziemi, na liściach, na moście, na drzewach, pod drzewami, na wzgórzach, w jamach, na wietrze, pod śniegiem, na lodzie, wzdłuż drogi, w poprzek mostu, nad miastem, po ciemku i w nocy, w świetle i w dzień, przed, po i w trakcie jedzenia, milcząc i krzycząc. Chodzić. Stać. Siedzieć. Leżeć. Tak, jak można było zdążyć w czasie najdłuższej zimy 1914 roku.

Całą długą zimę, która trwała do kwietnia 1914 roku, Sebastian z Anną niemal nie wchodzili do budynków. Anna mówiła to, co pomyślała, a myślała tak, jak dopiero co poczuła. Płakała z czułości, bo nigdy w życiu nie była tak silna. Czasem, kiedy Sebastian był w niej, wydawało się, że powinien być jeszcze bliżej, a czasem zdawał się niesamowicie bliski przez kilka warstw ubrań. Kiedy się zginała, czuła, jakby i jego coś zmuszało do zgięcia się. Jakby wokół skóry utworzyła się dodatkowa warstwa mocnej błony.

Obfitość dni.

TRZECIA STARA FOTOGRAFIA — MOŻE DO LAROUSSE'A

1. Tej fotografii Sebastian — gdyby go nagle o to spytać — za nic nie mógłby szczegółowo i dokładnie opisać, choć widział ją wiele razy i nic skomplikowanego nie przedstawiała.

Może właśnie reguły redukcji, zapamiętywanie i zapominanie, którymi tak zachwycił się Franciszek, w pełni zadziałały w wypadku Sebastiana i tej fotografii.

Twarze to najlepsze wątki — mówił Franciszek.

Franciszek mówił — wątki nie kończą się i nie znikają. Mogą od czasu do czasu zostać zapomniane.

Wątek twarzy Franciszka rozmaicie przypominał się Sebastianowi w ciągu życia, ale nigdy tak, jak na tej fotografii.

2. Została zrobiona na pogrzebie Franciszka w maju 1915 roku.

Franciszek leżał na nakrytej liźnykiem ławie obok dołu na cmentarzu za Jałowcem. Ujęcie było takie,

żeby widoczny był sam Franciszek, a nie pogrzeb. Franc, ubrany w wyszywaną koszulę, huculski pas i czerwone portki z parzenicami, ręce miał złożone na piersiach; trzymał w nich krzyż z dwóch ołówków, przewiązanych garścią trawy z połoniny (tak to wymyślił Loçi). Pierścień z kamykiem z rzeki, który Franciszek sam sobie zrobił i latami nosił, a potem zdjął i nie wyrzucił, ale odmówił noszenia, sterczał spomiedzy ołówków. Otwór na głowę i szyję w koszuli przykryty był kitajką.

Sama głowa leży (a ściślej stoi) oddzielnie, trochę dalej na ławie. Czarna broda i siwe długie włosy, zaczesane tak, że poza nosem i oczami niemal nie widać twarzy.

3. Sebastiana nie było na pogrzebie, nie widział tego. Małą dziewczynkę — córkę Anny i jego, wnuczkę Franciszka, o której ten nie zdążył się dowiedzieć — przyniesiono poprzedniego dnia. Franciszkowi obcięli głowę przedwcześniej. Sebastian był przy tym. Potem czekał, póki ścieknie krew, mył i czesał Franciszka, ubierał go w wyszywaną koszulę i portki. Głowę włożył do koszyka, nakrywwszy paprociami. A następnego dnia kurier przyniósł niemowlę zabitej Anny.

Cały dzień, kiedy w Jałowcu odbywał się uroczysty pogrzeb Franca, Sebastian nie opuszczał jego wnuczki, którą chyba bolał brzusek, bo bez przerwy płakała.

Sebastian nie mógł zapamiętać fotografii, może dlatego, że nie wyobrażał sobie, jak wyglądał pogrzeb, za to aż za dobrze pamiętał, co działo się przedtem.

4. Wiosną 1914 roku Anna potrafiła strzelać lepiej niż Sebastian. Teraz znowu częściej przebywał gdzieś z Franciszkiem, bo Anna brała broń i szła na kilka dni w góry. Tam tropiła zwierzęta, patrzyła na nie i douczwała się o snajperstwie tego, czego Sebastian nie mógł wiedzieć — jak wygląda snajper po przeciwnej stronie karabinu. Nie zabijała nikogo oprócz gzów, próbujących się na wymionach owiec z połoniny.

Bardzo tak cię chcę — mówiła Anna — że nie wiem, czy w ogóle mogłabym zasnąć, gdybym bardzo tak nie chciała spać obok ciebie. I zasypiała, i musiała czuć pod głową rękę Sebastiana. Chciałabym być twoją córką — żebyś był moim tatą. Tato jest po to, żeby się potem śnić.

5. Wiosna zaczęła się dopiero w kwietniu. W ciągu zimy zebrała się masa śniegu, który zaczął topnieć cały, bez różnicy — na południowym czy północnym stoku, niezależnie od wysokości nad poziomem morza.

Gdzieś w dole płynęły brudne i wezbrane rzeki, zalewając miasta, a tam nikt nie wiedział, jak w górach schodzi śnieg.

Jałowiec też spływał. Każdą kamienicę tej wiosny trochę podmyło. Wszystko przez grubość pokrywy lodowej.

Na każdej ulicy miasta płonęły watry, w których palono liście i gałęzie, co powyłaziły spod śniegu. Palenie wiosny pachniało inaczej niż palenie jesieni — do ognia trafiały obcięte gałązki winorośli, już podeszłe sokami.

6. Przez całą wiosnę Sebastian z lękiem czekał na atak alergii — jak w poprzednich latach. Nie dostał go jednak. To miejsce przyjęło go bez sprzeciwu.

Czekając, zauważył natomiast, że drzewa rosną tuż nad ranem, przed samym końcem nocy.

O Sebastianie wiedzieli już wszyscy w Jałowcu. Nie-raz zachodząc z Francem do jakiejś knajpy, musiał opowiadać towarzystwu o Afryce. To samo, ale za każdym razem coraz dłużej. Otrzymał nawet zaproszenie do któregoś z pensjonatów jako instruktor survivalu, ale odmówił z braku czasu.

7. Bo akurat wtedy Sebastianowi przyśnił się pewien sen.

Szedł z Anną uliczką miasta, której w rzeczywistości w Jałowcu nie było. Ulica biegła między dwoma rzędami domów, stojących na gołym zboczu. Za budynkami — tylko alpejskie łąki i ścieżki zwierząt. Ulica prowadziła prosto pod górę. Na parterach budynków mieściły się wyłącznie rozmaite bary. Stoliki stały też na wewnętrznych podwórzach, za przymkniętymi bramami.

Wchodzili do każdej knajpy po kolei, podchodzili za każdym razem do innego bufetu, jednym haustem wypijali po kieliszku białego wina, zapamiętując smak różnych roczników z różnych winnic, dziesiątki siedzących tam znajomych mówiło do nich coś nieistotnego, lecz bardzo interesującego. W końcu z jednymi z nich, a również mężczyzną i kobietą, zabawili dłużej. Kobiety o czymś rozmawiały, a mężczyzna zaproponował Sebastianowi, by poszli popływać.

Opuścili bar i ruszyli dalej pod górę. Ulica ostro kończyła się zaśnieżonym pagórkiem. Przeszli przez niego na drugą stronę, gdzie był wielki otwarty basen. Sebastian wszedł pierwszy. Skoczył i popłynął pod wodą, czując w basenie jakiś prąd, który znosił go w bok. Wypląnął i utrzymując się na powierzchni, przekonał się, że znosi go jeszcze bardziej. To samo działo się z przyjacielem. Dryfowali w stronę brzegu basenu, kończącego się nie ścianką, a liną, naciągniętą na powierzchni wody. Im bliżej, tym wir silniej ściągał, jakby cała woda miała przelać się przez linę. Kiedy przyniosło ich do tej granicy, ledwie zdążyli się jej złapać. Nogi spłynęły w przód i leżeli na plecach, uczepteni liny. Za nimi znikały małe żółwie, które zewsząd przynosiła woda. Sebastian utrzymał się tak przez kilka minut. Ręce bolały go jak nigdy w życiu, więc zdecydował się puścić i spłynąć za żółwiami. Najpierw jednak podniósł głowę i wyjrzał za linę. Tam woda zmieniała się w ogromny wodospad, tworząc gładką i wysoką ścianę, na oko nieruchomą. Na samym dnie przepaści Sebastian zobaczył wszystko, co jest na świecie. Nagle strumień całkowicie zniknął i natychmiast odbiło go na przeciwną stronę, brutalnie wyrzucając na brzeg tam, gdzie zeszli do wody. Całe ciało Sebastiana z ogromną tęsknotą wspominało krótką kąpiel.

Ubrali się i szybko wrócili tą samą drogą do baru, zauważywszy, że na budynkach pojawiły się balkony, których tam wcześniej nie było. Knajpa opustoszała, tylko dwie staruszki grały w szachy na stoliku, chwie-

jącym się przy każdym przesunięciu figury. W licznych butelkach próżno było szukać choćby kropli alkoholu. Już chcieli wyjść, kiedy dwie staruszki podeszły do nich. Okazało się, że to ich żony (Sebastian ledwie rozpoznał Annę), które nigdzie nie wychodząc, czekały na swych mężów równo czterdzieści lat.

8. Sebastian był pod takim wrażeniem, że kolejnej nocy próbował wrócić do tego snu. Przyśniło mu się tylko tyle, że jest herbatą z mlekiem, zmieszaną w dających najlepszy odcień proporcjach.

9. Anna spokojnie wysłuchiwała całej historii i powiedziała, że jest to możliwe, ale na ogół wygląda zupełnie inaczej; prawdziwa rozkosz znajduje się nie w błędniku, a gdzieś w płucach — coś tam o oddychaniu, napełnianiu, opróżnianiu, ciśnieniu powietrza. Dawno temu Franciszek mówił jej to samo.

10. Wieczorem Anna zdjęła z Sebastiana koszulę i założyła ją na gołe ciało. Posadziła go na bidermajerowski fotel, wybrany spośród wszystkich foteli w domu, znalazła w szafie paczkę gitanesów bez filtra i włożyła mu do ręki. Oderwała z parciaka cztery niewielkie kawałeczki, wzięła buteleczkę atramentu Pelikan i siadła do stołu. Sebastian zapalił, a Anna moczyła palec w atramencie i na kawałkach płótna kreśliła prymitywne, kanciaste rysunczki — słońce (kółko z kilkoma dużymi promieniami we wszystkie strony), choinkę (prostopadła linia pośrodku, pochy-

lone w dół patyczki), człowieczka (patyczek, z góry i z dołu — rozgałęzienie, między podniesionymi rękami małej okrąg, między rozstawionymi nogami kreseczka w stronę ziemi), kwiatek (większe koło, gęsto otoczone mniejszymi półkami). Spomiędzy kartek Larousse'a Anna wyjęła zasuszone kwiaty konopi i nabiła nimi wąską szklaną lufkę, czytając po cichu hasła z encyklopedii. Skończywszy, wyciągnęła ze spodni Franciszka pasek i związała mu ręce za oparciem fotela tak mocno, że mięśnie na piersiach zrobiły się całkowicie płaskie. Swoją apaszką równie mocno przewiązała mu oczy. Wyciągnęła z kieszeni, od razu otwierając jedną ręką, brzytwę i raz po razie, trzykrotnie, nacięła Sebastiana: na ramieniu, między żebrami i w poprzek brzucha. Nacięcia przez chwilę były cienkimi kreskami, potem ich brzegi się rozeszły, rany otworzyły i poleciała krew.

Anna wyjęła niedopałek z ust Sebastiana i odpaliła od niego ziele w lufce. Kilka razy zaciągnęła się powoli, za każdym razem długo trzymając dym w płucach. Na koniec wzięła lufkę do ust z tej strony, z której tliły się konopie, i jednym wydechem wydmuchała po trochę dymu na każdą z ran. Znowu zaciągnęła się resztą, przyłgnęła ustami do ust Sebastiana i wypuściła wszystko, co trzymała w płucach. Zaskoczony Sebastian zakaszlał i zaczął oblizywać usta — kaprański gitanes zostawiał na nich inny smak.

Dopiero wtedy Anna zakleiła nacięcia parcianymi szmatkami z rysunkami. I rozwiązała Sebastiana, który postanowił o nic nie pytać.

11. Tej nocy Sebastianowi przyśniło się, że szli z Anną ulicą wychodzącą z Jałowca. Tylko zamiast jałowców i sosen rosły w dwu rzędach ogromne kwitnące lipy, o których wiedzieli, że zaraz przemówią, i wtedy trzeba będzie albo nie mówić nic poza powitaniem, albo odpowiadać nadzwyczaj dokładnie. Drzewa miały coś ocenić według siebie tylko znanych kryteriów. Z boków i z góry, przez wszystkie prześwity w koronach, świeciło nieubłagane słońce — tak morska woda przenika do dziurawego okrętu, rozchodzi się po nim, zbiera się we wszystkich zakamarkach, ściągając go na dno.

Szedł tym korytarzem z taką pewnością, jakby coś naciskało na jego potylicę. Obok przechodzili nieznani ludzie, ale gdyby zrobić zdjęcie ulicy z całym tym tłumem, to i tak byłoby jasne, że fotografia jest o nim.

Sebastian widział z pewnym wyprzedzeniem — pod drzewami wciąż leżały sterty zgrabionych liści, a on już widział, jak unosi się z nich pierwszy dym.

Wiedział, że będzie szedł tym tunelem zawsze, pozwoli zatracając siebie na skutek tarcia o światło, aż dotrze do wieczności, ostatecznie stając się światłem.

12. Anna była wdzięczną uczennicą i nauczyła Sebastiana zadawać i darowywać sny na określone tematy, wykorzystując największą w świecie moc — wibrację. Wystarczy odrobina wyobraźni, żeby osiągnąć tę rozkosz i nauczyć się wyczuwać wibrację również w tym, w czym nie podejrzewasz, że mógłbyś to znać.

13. Cały początek lata Anna z Sebastianem uprzyjemniali sobie czas, udając, że Anna jest w ciąży.

Zaczęli się kochać delikatnie. Spali do późna. I do późna nie wstawali, pieszcząc się znowu. Nieśpiesznie chodzili na połoniny po mleko. Wracali przez porębę, zbierając jagody, a ostatni raz kochali się w miejscu, gdzie kończyły się jeżyny. Po drodze wspominali swoje pierwsze wspólne dni, za każdym razem znajdując jakiś przeoczony wcześniej szczegół. Obiady jadali zawsze w domu na werandzie, a kolacje gdzieś u ludzi; zamawiali tylko najzdrowsze potrawy, a nakrywając do stołu, układali wyszukane obrazy. Mierzili w sklepach suknie ciężowe. Przemeblowywali pokój, planując, gdzie umieszczą dziecko. Z kilkuletnim wyprzedzeniem kupowali w księgarniach książki i Sebastian czytał je Annie na dobranoc. Mył ją w wannie, wycierał i namaszczał wonnymi olejkami. Przed snem spacerowali po najpiękniejszych zakątkach Jałowca, podlewali nagrzaną deszczówką arbuzy, które hodowali w wielkim dziurawym rondlu na balkonie, i pili herbaty z ziół leczniczych. Już w łóżku, pod miękkim kocem, Sebastian głaskał jej brzuch tak, żeby zasnęła, i wychodził na balkon na ostatniego papierosa.

W środku nocy Anna go budziła i długo nie spali.

14. Dwudziestego ósmego czerwca Anna postanowiła cały dzień spędzić sama. Miała skończyć wreszcie list do Niezwykłych i przekazać go przez starego

Bedę, który zawitał do Jałowca tylko na kilka dni, bo Niezwykli potrzebowali go, zaplanowawszy jakąś gigantyczną akcję.

Sebastian nie oddalał się od Franciszka, rozmawiali, spacerując po Jałowcu, jeden pieszo, drugi — kanałami wpływ. Potem instruktor survivalu zrobił im zdjęcie i płatał się z nimi aż do rana, najpierw u Bedy, a potem Bóg wie gdzie, pijąc wino agrestowe, gin i przepowiadając straszliwe niebezpieczeństwa lekko-myślnemu Sebastianowi.

15. Pod koniec września Anna pojechała do Mezeterebesz i zaciągnęła się na ochotnika do legionu Ukraińskich Strzelców Siczowych.

W przeddzień do miasta przybyli w końcu Niezwykli. Anna spotykała się z nimi u francuskiego inżyniera, położyła się spać na galerii obok Sebastiana, a rano już jej nie było. W Jałowcu zabrakło też Niezwykłych. Franciszek był pewien, że Anna albo z nimi poszła, albo ją zabrali. Sebastian chciał gdzieś iść, o coś pytać, byleby robić coś, co zdawało się konieczne (za pół roku będzie wdzięczny martwej Annie, która przekaże mu niemowlę akurat wtedy, kiedy i Franciszka zabraknie, i trzeba będzie coś robić, żeby nie zwariować z samotności).

W końcu — biec na oślep i wypytywać każdego, szukając zguby, nie było do końca pozbawione sensu. Bo w naszych górach, gdzie wody zbierają wszystko, same z kolei zbierają się w trzech miejscach, znalezienie zguby jest proste — jeśli tylko nie leży pod śnie-

giem czy kamieniem. Ale i wtedy niepewność trwa nie dłużej niż rok.

Franciszek jednak wyśmiał zniecierpliwienie Sebastiana i nakazał zmienić się w skałę i czekać. Albowiem czekanie jest czasem najradykałniejsze ze wszystkiego, co można zrobić. Rzeczywiście, po trzech tygodniach znowu przyszli Niezwykli i zaczęli się domagać, by Franciszek wpuścił ich do Anny. Sebastian po raz pierwszy poczuł ulgę.

16. W październiku do Jałowca przyjechał z frontu ranny bośniacki kapitan. Waląca się buczacka cytadela przygniotła mu nogi. Odcięli je, ale miejsca fantomowych nóg tak bolały, że kapitanowi ktoś polecił leczenie w Jałowcu. Potem nadzieje lekarzy się spełniły: kapitan przestał wyć z bólu i nawet napisał pierwszy tom króciutkich wspomnień z początku wojny. Gin jest przecież silnym analgetykiem.

Tymczasem w październiku kapitana dopiero co przyniesiono na noszach do Jałowca; opowiadał wszystkim o swojej operacji, którą miał w Horondzie. Chirurg cały swój wolny czas spędzał w sławnej horondowskiej knajpie wśród starszyny USS. Tam spotkał najpiękniejszą z wszystkich kobiet — Annę Jałowiecką z Karpat. Była ulubionym snajperem podporucznika Pełenskiego z sotni Diduszki i poradziła chirurgowi odesłać Bośniaka do Jałowca (wkrótce potem sotnia opuściła Horondę, ruszając do Niżnych Werczek). Nie tylko Sebastian po raz drugi odczuł ulgę, ale też — ostatecznie — Franciszek. Anna była

wolna. Nie była z Niezwykłymi. Są rzeczy ważniejsze od przeznaczenia.

Okazuje się, że wojna, a więc i śmierć.

17. Po raz trzeci Sebastian mógł poczuć ulgę, kiedy przyniesiono dziecko, ale nie pozwolił sobie na to, i żył z tym ciężarem do końca, może tylko dzieląc się jego drobinami i przerzucając z Anny na Annę.

18. Jak Franciszek spędził ostatnie miesiące swojego życia, tego Sebastian dokładnie nie wiedział, bo widywał go wyłącznie z daleka. W dosłownym tego słowa znaczeniu. I tylko od dołu.

Na początku bardzo ciepłej zimy Franciszek ostatecznie przeniósł się na balkon, urządzając tam sobie samotnię i z nikim się nie kontaktując. Sebastian spotykał się z nim tylko raz na tydzień w barze, gdzie ten przychodził po kankę dzinu. Spotkania odmierzali czasem wypicia szklanki jałowcówki z syropem kalinowym. Franc był wzruszająco przyjazny, ale nawet słowem nie wspominał o sprawach rodzinnych. Sebastian słuchał, a Franc opowiadał najświeższe nowinki o przemieszczaniu się wojny światowej, tak szczegółowo, jakby to nie on, a Sebastian, siedział, nosa za balkon nie wyściubiając (lub miał szkła, przez które widział wszystko w promieniu stu kilometrów, zaglądając nawet za każde drzewo). Sebastian nie rozumiał, skąd Franc dowiaduje się o tajemnicach wojskowych obu stron, bo nie wiedział, jak Franc mieszka na balkonie — widoczność zasłaniały gałęzie winorośli, bluszcz i korony młodych cedrów.

19. Już w Afryce Sebastian zaobserwował pewną ciekawą rzecz — ludzie chętnie patrzą tam, gdzie można spuszczać wzrok, ale zupełnie nie przykładają wagi do tego, na co trzeba patrzeć w górze.

W lecie szczególnie dużo czasu spędził z Anną na balkonie, gdzie teraz zagnieździł się Franciszek — hodowali arbuzy, palili, cały dzień pili zimną mate, przełaną do srebrnego dzbana wieczorem, kiedy jeszcze była gorąca. Widzieli wszystko, co działo się na ulicy. Mogli nawet odgadywać rozmowy z ruchu ust i gestów. Natomiast nikt nigdy — Sebastian jest tego pewien, bo nie przepuszczał ani jednego spojrzenia na siebie — nie widział, co robią na balkonie, że w ogóle tam są. Przecież trzeba by było podnieść oczy (widocznie coś tu się wiąże z anatomią — pomyślał).

Teraz, patrząc na balkon Franca, Sebastian wyrzucił sobie, że nie nauczył Anny podstawowej zasady snajperstwa w mieście: przede wszystkim — balkony.

(Znacznie później generał Tarnawski opowiedział Sebastianowi czyjeś wspomnienia o przegranej bitwie ulicznej we Lwowie w listopadzie 1918, i Sebastian znowu pomyślał o snajperach i balkonach, na których ci snajperzy pewnie przed wojną mieszkali).

20. Ostatecznie liście winorośli opadły którejś listopadowej nocy, i Sebastian mógł co nieco dojrzeć przez bluszcz i cedr. Zobaczył cienką linę przywiązaną do balkonu, która ciągnęła się prosto w chmury. Poza tym nic szczególnego. Ale przy następnym spotka-

niu uprzedził Franca, że linę można zauważyć, że jest widoczna.

Franc nic nie powiedział, i Sebastianowi pozostało już tylko wierzyć we własną wersję, zdaje się, najlogiczniejszą. Lina z balkonu wiedzie do znajdującego się wysoko latawca — do latawca przymocowana jest siatka na ptaki — w siatkę wpadają ptaki — ptaki uciekają ze swoich miejsc przed frontem — za Czarnohorą mieszka ornitolog — ornitolog obrączkuje ptaki — ptaki są obrączkowane — lecą przez Czarnohorę — trafiają w siatkę — Franc ogląda obrączki — Franc zna ornitologa — Franc rozumie jego kody na obrączkach — na obrączkach wskazane są miejsca gniazdowania — ptaki uciekają ze swych miejsc — znaczy, tedy przeszedł front. Franc uwalnia ptaki i znowu puszcza latawiec.

21. Wiosną 1915 roku rozpoczęła się operacja gorlicka (dokładne miejsce ofensywy Franciszek wskazał w przededniu).

W maju przez Jałowiec zaczęli przewalać się obcy: mazepowcy wracali z Galicji, Galicjan zwalniano z Talerhofu oraz Gmündu, moskalofile pędzili za Rosjanami, wysiedleńcy przybywali z Rosji, rosyjscy szpiegzy przedzierali się na Węgry, Madziarzy szukali szpiegów i wieszali Hucułów, Huculi chodzili do Rumunów po kuleszę, rumuńscy opryszkowie polowali na huculskie dziewczyny, dezterterzy i maruderzy schodzili sobie z drogi.

Bandy na ogół omijały Jałowiec, ale spośród tych, którzy mimo wszystko pojawiali się w mieście, więk-

szość była uzbrojona. W Jałowcu był jedynie afrykański karabin Sebastiana.

22. Z Franciszkiem wszystko podziało się błyskawicznie.

Tak szybko, że zdawało się, jakby głowa po prostu odpadła w pół słowa, jakby nagle fajka odpadła od cybucha — wystarczy ją szybko podnieść i zaciągnąć się znowu. Chciało się to samo zrobić z głową, zanim ciało upadnie. Żeby koniec słowa nie znikł w krótkiej pauzie.

Dopijali gin z syropem, kiedy do baru weszło dwóch opryszków z Maramuresz. Za gin zapłacili parą butów z nadgryzionymi przez wilki cholewkami. Usiedli za plecami Sebastiana; Franc od czasu do czasu spoglądał na nich, bo był czujny. Położył na stole maczetę, z którą chodził do Serba Lukača, przedzierając się przez kosówkę, która nieustannie zarastała miejsce wokół leśniczówki.

Front się cofał, ale ptaki nie wracały. Franc nie miał co robić, więc opowiadał Sebastianowi o Niezwykłych — kiedy ktoś się rodzi, to siadają akurat pod jego oknami i układają bajkę, jak ziemscy bogowie. A że się nie da za każdym razem ułożyć innej, to ubzdurali sobie wojnę. Szykował się właśnie do opowiedzenia, co szeptuch wymyślił dla Anny (bardzo istotne, że wtedy nie była jeszcze Anną) i gdzie schował film z czymś, czego szukają Niezwykli.

Nagle jeden z opryszków podszedł do ich stołu i powiedział, że kupi maczetę. Nie kupisz, powiedział

Franc. To zabiorę. Nie zabierzesz. Bo co? Bo jej potrzebuję. A jak nie będziesz więcej potrzebował? To przyjdiesz tu. Już przyszedłem — powiedział opryszek — i chcę wziąć. Jeśli ci się uda; i popatrzył nie na rękę Rumuna, a w jego oczy. Opryszek odwrócił oczy, wyciągnął rękę, wrócił spojrzeniem, zabrał rękę. Mogę ci odrąbać głowę — powiedział po ukraińsku. Jak możesz, to od... Na tym skończyła się pogawędka, bo opryszek złapał za maczetę i bez zamachnięcia, samą tylko siłą ciężaru ostrza, ściał głowę Franciszka. Sebastian usłyszał, jak zgrzytnęły rozrywane ścięgna. Ciało Franca siedziało. Głowa upadła, ale się nie potoczyła. Jakby nagle fajka-czaszka odpadła od cybucha. Chciało się szybko przyłożyć ją na miejsce i usłyszeć: — ...rąb. Drugi opryszek postawił przed Sebastianem granat i obaj — już z maczetą — wyszli z baru. Sebastian nie wiedział, za co najpierw łapać — za granat czy za głowę. Wziął jednak granat i rzucił do otwartego pieca. Choć wybuch poszedł w komin — aż w biały dzień latały gacki — korpus zwałił się na podłogę, popychając głowę pod stół.

23. Następnego dnia kurier przyniósł niemowlę. Sebastian zrozumiał, dlaczego Franc zginął — sądził, że jest niesamowicie silny: na świecie nie została ani jedna kobieta, którą mógłby kochać. Nie podejrzewał, że ma wnuczkę. Córka Anny w tym momencie była o dzień drogi od Jałowca.

WOJNY WYOBRAŹNI — KRÓTKO

1. Dlaczego zawsze wojna? Tak spytała mała Anna, córka Sebastiana, kiedy zaczęła rozumieć trudniejsze historie. I Sebastian zachnął się — rzeczywiście opowiadał małej wyłącznie o wojnie, tylko o wojnie, choć był już rok 1921; rzeczywiście od dwóch lat uczył ją jedynie tego, co mogło się przydać na wojnie, i wychowywał na żołnierza.

Dlaczego zawsze wojna. Obróciła do niego głowę i zdążyła zapytać podczas skoku konia przez krzak szypszyny. Koń przednimi kopytami dotyka ziemi. Sebastian mocno odchyła się do tyłu, żeby siedzące przed nim dziecko nie uderzyło twarzą w jego podbródek. Anna odwraca głowę i znowu patrzy przed siebie. Mkną po górach. Nie oczekuje odpowiedzi natychmiast — robi się podobna do Anny, swojej mamy.

Po drodze Anna ma zapamiętywać wszystko, co widzi. Potem jak najdokładniej opowiedzieć. A również — określić pozycje, jakie wybierze do strzelania, i punkty, w których może się ukryć przed wrogiem. To dziecięca gra, taka szkoła podstawowa.

2. Wieczorem zmęczony Sebastian wziął papier i siadł przy świeczce, żeby podliczyć materialne ślady wojny (tak Sebastian ilustrował Annie różne pouczające opowieści — w postaci geometrycznych zadań i twierdzeń).

Wojna zabrała: Franciszka, maczetę, Annę.

Wojna dała: dziwny rokitnikowy gąszcz wokół Jałowca, Annę, kilka rosyjskich pocisków, zdjęcie z pogrzebu Franciszka i jeden rysunek Perfeckiego.

Co takiego robił, co można robić wyłącznie na wojnie? Raz wyszedł na wartę, jeden dzień kopał szanice, jeden raz wysadzał most.

Nie tak dużo śladów. Wojna właściwie przeszła bokiem. To dlaczego zawsze wojna?

3. Już jesienią 1914 roku mieszkańcy Jałowca zdecydowali, że wojna jest nie dla nich. Oni to Europa Środkowa: nie mają żadnego innego interesu. Kiedy jednak walczy Północ z Południem, a Wschód z Zachodem, dzieje się to przeważnie w Europie Środkowej, gdzie rzeki i Karpaty. I co najgorsze, w takich czasach mieszkańcy muszą pełnić funkcję pokojowej ludności Karpat, a ich kraj to strategiczny punkt na topograficznej pięćdziesiątce.

Dlatego Lukać postanowił — Jałowiec musi zniknąć. I obsadził go krzakami rokitnika, które w ciągu kilku tygodni tak wyrosły (wszyscy musieli zbudować prawdziwy system obronny, z kilkoma liniami szanców, i przejść między nimi, jakby całe miasto bawiło się w starą bojkową zabawę w krety, ale tylko wtedy —

zapewniał Lukač — rokitnik wyrośnie szybko, wysoko i gęsto, a jego igły zamkną się nad tajemnymi ścieżkami), że miasta nie było widać z żadnej góry. Sterczał jedynie wiadukt, na którym niegdyś mieszkali Niezwykli. Zewsząd poznosili wszystkie stare prochownice, jakie gdzie były. Złożyli je na moście. Pootwierali okna we wszystkich budynkach, i Sebastian wystrzelił płonąca kulę.

Most podskoczył, wybuchł, bryły pomieszały się w powietrzu i pokruszyły, na miasto spadł sam piasek — cały jednocześnie.

(Kilka rosyjskich naboí — ostre kule, na gilzie litera cyrylicą — Sebastianowi zostawili Łemkowiedezerterzy, wymieniając je na odrobinę eteru).

4. Wszystko w świecie połączone jest przez nie więcej niż cztery ruchy. Tak mówił Franciszek.

Wszyscy w świecie znają się przez nie więcej niż cztery osoby. Sebastian znał Annę, Sebastian znał Ločiego. Loči znał Annę, Loči znał Sebastiana. Loči znał Perfeckiego. Malarz Leonid Perfecki znał Annę. Perfecki rysował Annę w legionie USS. Loči spotkał się z Perfeckim w styczniu 1919 w tymczasowej stolicy ZUNR, Stanisławowie. Perfecki pokazał rysunki — Loči poznał Annę. Opowiadał Perfeckiemu o tej, która była na obrazku, a Perfecki — jak niegdyś Franciszek — o tym, co działo się przed rysunkiem.

5. Anna była urodzonym zwiadowcą. Potrafiła wszędzie się precyzyjnie, wszystko zobaczyć, wszystko zapa-

miętać i to, co najrzadziej spotykane, dokładnie opisać. Często przebierała się i przekraczała linię frontu. Tak było pod Bolechowem. Wyszła za linie, kiedy rozpoczęło się rosyjskie kontrnatarcie. Austriackie oddziały wycofały się, odsłaniając naszych strzelców. Ruszyły na nas trzy fińskie pułki z trzech stron naraz. Rozpoczęła się walka na bagnety i kolby. Wielu naszych padło, do niewoli wzięto setnika Bukszowanego, chorążego Stepaniwnę, chorążego Swiderskiego, podporucznika Krawsa, drużynowego Freja. Reszta jakoś się trzymała i odparła moskali. I nagle w lesie z tamtej strony ukazała się Anna. Była przebrana za starego mężczyznę, obdarta, wspierała się na długim kijku. Szła prosto na nich. To nie była nieostrożność. Prowadziło ją coś, czego nikt nie pojmował. Skoczyło za nią trzech. Anna wzięła kostur w obie ręce. Był ociosany i ostry jak bagnet. Stała sama przeciw trzem. Władała kosturem jak prawdziwym karabinem bez amunicji — jak bagnetem i kolbą. Jednemu przebiła gardło, drugiemu rozbiła głowę nad uchem, od trzeciego dostała sztykiem w pierś. Żołnierz nie mógł wyciągnąć go spomiędzy żeber i Anna próbowała mu pomóc, łapiąc palcami za ostrze. Moskal się przestraszył, puścił z rąk karabin, który zwiśł i wbił się kolbą prosto w ziemię; Anna padała w przód, ale podpierał ją karabin. Sztyk w całości przeszedł na wylot. W jednej ręce Anna nadal trzymała swój kostur. Z trudem go podniosła i uderzyła w karabin, który nie dawał jej upaść. Kolba przesunęła się do przodu i Anna tak upadła — przed siebie, z bagnetem obracającym się w piersi. Podbiegli żołnierze i dobili ją na ziemi, tak jak byli szkoleni.

6. Perfecki oddał rysunek Loćiemu. Loći przyniósł go Sebastianowi, prosząc: „Otwórz kopertę, kiedy już pójdę”.

Na rysunku Anna nie wyglądała na martwą.

Głowa leży na jakimś wzniesieniu, twarz pogodna, usta nie zaciśnięte, nogi w kolanach lekko ugięte do góry, jedna ręka — płynnie wzdłuż ciała, druga — od łokcia wyciągnięta w górę. Nie miała cech właściwych zmarłym — ani sztywności, ani wiotkości, nie była zapadnięta, ani nabrzmiała, nie miała nawet ostro zastygłych rysów. Gdyby zdjąć z niej ubranie, wyglądałaby jak klasyczny akt w akademii sztuk pięknych.

7. Nie mógł takiej Anny zaakceptować. Sebastian w ogóle nie wierzył w istnienie Anny, którego sam nie widział — taką miała właściwość jeszcze za życia.

Patrząc jednak na rysunek, poczuł się tak samo jak na świętego Jerzego w 1914.

Na Rynku aż do nocy grało dwunastu cygańskich trębaczy z Suboticy. Gin łał się z przeciwpożarowych hydrantów. Pijany Lukać wtykał w ziemię jakieś sadzonki, które rosły w oczach. Wszyscy pływali w kanałach i tańczyli. Latali na huśtawkach i trapezach. Kiedy już zasnęli pod gołym niebem, Lukać zabrał Cyganów, Sebastiana i Annę do siebie. Cyganie ledwie nadążali pić. Sebastian nie dawał rady przytulać Anny, więc tuliła się do grajków. Potem umilkły trąbki, a zaczęły się śpiewy. Wszyscy śpiewali jak pod szubienicą. Aż nagle przetrzeźwili i przypomnieli sobie wszystko, co wiedzieli, i znowu zrobili się pijani — teraz już na długo.

Chciał się kochać z Anną gdzieś w kącie, ale bez powodzenia, bo jak tylko zaczynała się nowa piosenka, Anna wracała do stołu.

Nad ranem wracali do domu i nie mieli o czym rozmawiać. Za plecami wciąż dały się słowiki, a przed nimi już budziły się skowronki. Sądzieli, że przeleżą do świtu z otwartymi oczami, ale zasnęli, jak tylko się przytulili. Ostatnią myślą Sebastiana było: od jutra zaczyna się nowe życie.

Obudził się po dwóch godzinach i chciał wody. Poszedł do chaty Łukača. Cyganie już powstawali i gotowali kaszę na ognisku. Byli co najwyżej przyjaźni. Sebastian nie mógł pojąć, czego tak blisko był w nocy. I cały dzień czekał na noc.

8. Obejrzawszy rysunek, Sebastian zaczął rozmyślać nad tym, jak sztyk wchodzi w ciało. Od tej pory nieprzerwanie odczuwał coś takiego. Nabijają go. On nabija. Szabla rozcina skórę. Rana się goi. Idzie po polu wśród wciąż żywych, choć już zabitych. Powoli umiera od postrzału w brzuch. Błoto pod butami. Marsz kolumną. Przeprawy przez zimną wodę. Gnijące rany, czyszczone brudnymi palcami. Obdarci żołnierze. Deszczówka i błoto w okopach. Trzeba pchać koła wozów. Ścinać drzewa na drogę. Obok wybuchy. Trzeba leżeć. Drzewa pękają. Kolumny uciekinierów. Wisielcy w ogrodach. Pełzanie w śniegu. Białymi wzgórzami wracają czarne postaci. Spalone pola. Płonące oczy. Od spania na zimnie bolą mięśnie. Odparzone ręce. Ból, bezsenność, chłód. Ciągły wysiłek i napięcie, bez

których nikt nie jest w stanie zainteresować się zdobyciem pożywienia. Wszystko to czuła Anna. Pierwszy raz w świecie — dokładnie tak samo czują dwoje.

9. W 1921 roku Sebastian przestał mówić o wojnie, choć jego wyobraźnia pozostała tam na zawsze. Myśląc o czymś, zawsze myślał o czymś innym.

Dziecku zaczął opowiadać o zwierzętach.

Najbardziej zaczęło mu brakować Franciszka.

10. Tego roku zmarł francuski inżynier. Tak jak się spodziewał — z powodu palenia.

Zrobiło się chłodnawo, dlatego wszystkie okna były pozamykane. Kominy również pozatykał szybrami. Francuski inżynier dopalił ostatniego papierosa już w łóżku, ale nie zgasił niedopałka w popielniczce, a wstał i nie zakładając kalesonów, przeszedł przez pokój i rzucił niedopałek do pieca. Napił się wody prosto z wiadra. Dopiero wtedy najspokojniej w świecie położył się spać. A w piecu było pełno papierowych śmieci — przeważnie stare brudnopisy i zapiski zupełnie banalnych opowieści (dziwne, ale po wojnie tych ostatnich przybyło, i trzeba je było odrzucać — w dodatku ludzie zaczęli znacznie rzadziej przychodzić do biura notarialnego francuskiego inżyniera: jedne historie były nie do opowiedzenia, a inne miało się ochotę opowiadać jeden drugiemu i w towarzystwie). Papiery zajęły się od niedopałka, płonęły przy zamkniętym kominie, francuski inżynier słodko usnął zaczadzony.

NIEZWYKLI

1. Na pogrzeb mieli przybyć Niezwykli. Dlaczego nie zjawiali się przez te wszystkie lata, kiedy byli naprawdę potrzebni, nikt nie wiedział. Widać im samym nie było to potrzebne. Co oznacza, że śmierć francuskiego inżyniera interesuje ich bardziej niż Jałowiec podczas wojny. A może prawdziwa wojna poza Jałowcem była bardziej interesująca. Tu zresztą nie działo się nic takiego, czego nie wysledziłby francuski inżynier. Jeśli naprawdę byli przywiązani do Jałowca, to przyjdą z dwóch powodów: po pierwsze, by otrzymać coś, co zostało po francuskim inżynierze, po drugie, zostawić kogoś na jego miejsce. Franciszek mówił, że interesują się pewnymi osobami. Sebastian przypominał sobie wyraźnie, jak Franciszek strzegł przed nimi Annę, jak opowiadał o prześladowaniu ich rodziny przez Niezwykłych. Strach przed tym, że ktoś może mu zabrać córkę (w dodatku córkę jego Anny), pojawiał się każdej godziny przynajmniej na kilka sekund. Teraz wypełnił całego Sebastiana i rozsadzał go od środka. Trzeba uciekać.

Anna spała, a Sebastian tarł kartofle i smażył placki, żeby na ucieczkę wziąć coś sensownego.

Tarł, smażył i myślał o czymś zupełnie innym.

2. niezwykli — ziemscy bogowie. ludzie, którzy przy pomocy wrodzonej lub nabytej wiedzy mogą przynieść korzyść lub wyrządzić szkodę. ważne jest to: wrodzona i nabyta. coś wiedzą. tego można się dowiedzieć. nabyć. wobec tego niezwykłym można się stać, nabywając jakąś wiedzę.

a to, co wrodzone. interesowały ich sny Anny. to wrodzone czy nabyte. miała je po morfinie — nabyte. ale miała je tylko Anna. morfina coś otworzyła. znaczy — wrodzone. Anna nieco mi wyjaśniła, czegoś się nauczyłem — nabyte. Anna mówiła, że nie każdy przyswoiłby sobie taką naukę. muszą istnieć jakieś cechy. cechy to podstawowe wątki. to intonacje. intonacje tworzą głos. niezmiennie właściwe co najwyżej daje się imitować. żeby imitować, trzeba wiedzieć. imitacja jest wiedzą dlatego, że wiedza jest imitacją. interesowało ich, co Anna wie o czymś, czego sami nie wiedzą. znaczy — ich wiedza nie jest nieograniczona. muszą ją zdobywać. nawlekać na cechy. niezwykli są różni. zdobycie całej wiedzy przez kogoś jednego jest niemożliwe. każdy z jakiegoś powodu wybiera określoną dziedzinę wiedzy. zależnie łód rys. som ony rozmaite — krowje, kuńskie, kłocie, psie, kurze, gąsie, żabje, rybje, mysie. do syckiego zywego, co z syckiego zywego biere fach. i jest łód gadziny różnej, łód wilków, łód gradu i chmur i łód błędzenia.

i jeszcze wieszcz i wieszczka. ale najważniejszy jest szeptuch, zaklinacz. najsilniej działa zaklęcie, szeptanie, baj. baj to nie słowo. baj to wiele uporządkowanych słów. baj to już historia. na różne przyczyny są różne baje. baje są wątkami. bajanie to opowieść, opowiadanie historii, wątki. przyczyny też muszą być wątkami. żeby znaleźć na nie baj, trzeba je opowiedzieć. wobec tego opowieść wpływa na wybór opowieści, i tak wybrana opowieść jest opowiadana. opowiadany jest baj, jaki wpływa, działa na poprzednią opowieść-przyczynę, i wpływa na to, w którą stronę zmierzy po opowieści-baju do opowieści-skutku. wychodzi na to, że są tylko opowieści. opowieść jest zbiorem wszystkich działań, a wszystkie działania — opowieściami. pośród niezwykłych szeptuch stoi na pierwszym miejscu. jego wrodzona wiedza-cecha — jak opowiadać (słuch, artykulacja, głos, intonacja, rytm i tempo) — nawleka na siebie cechy nabyte — co opowiadać. niezwykli muszą wiedzieć, co opowiadać. potrzebują czyichś opowieści — Anny, francuskiego inżyniera, Bedy, posła Stefanyka, generała Tarnawskiego. to, co wiedzą, opowiadają komuś innemu. ale komu. Franciszkowi, Annie, Łoćiemu. potem Franciszek robi takie oto filmy, Anna buduje takie oto budynki, które coś jeszcze komuś innemu bajają. i ci inni mają co bając dalej. mają. niezwykli robią to, co chcą. chcenie też trzeba skądś znać. znać znaczy usłyszeć opowieść, baj. chcenie się ma. niezwykli chcą mieć. najlepszy sposób na to, by mieć — móc opowiadać. kto opowiada, ten ma wszystko. opowieść, wobec

tego, to nie tylko największe działanie, ale i największa rzecz, największa liczba. największa cecha i oznaka. niezwykli mają najwięcej, robią najwięcej, znaczą najwięcej, bo opowiadają. zagadka okazała się bardzo prosta. znając przestępców A, wymyśla się im przestępstwo B. niezwykli panują nad światem. niezwykli przychodzą, kiedy ktoś lub coś się rodzi, i wymyślają mu życie. opowiadają wątek. opowieść staje się przyczyną, życie — skutkiem opowieści. i przyczyną nowej opowieści, której można posłuchać i którą można przekazać dalej. nie ma życia bez opowieści. bo opowieść jest życiem. wątki nie kończą się, mówił Francisek. wątki kryją się i ujawniają. historie, jak zaraza, powodują gorączkę, roznoszą się, są przenoszone, kryją się, wyłazą i powodują gorączkę. schodzą się, rozchodzą, przemieszczają, zrastają, w innych miejscach załamują, wywracają, kruszą, przeradzają. wybierać wątki. łączyć wątki (analiza, synteza, dedukcja, indukcja, mitologizacja, demitologizacja, analogia, hiperbolizacja, dodawanie, odejmowanie, mnożenie, dzielenie, akcent, ton, artykulacja, szczepianie, zakorzenianie, wykorzenianie, tonacja, tempo, rytm, czasoprzestrzeń, personifikacja, alegoria, synonimy, antonimy, homonimy, konstrukcja i dekonstrukcja, lingwistyka komparatywna). oddawać wątki, śledząc czas i miejsce. to jest metoda niezwykłych. i ta metoda jest rezultatem. bo jest tak, jak zostało nakazane, przykazane, rozkazane, wskazane, zakazane, powiedziane, opowiedziane, odpowiedziane, zapowiedziane, przepowiedziane, podpowiedziane. a po co jest. żeby mówić.

baj — niewidzialne lekarstwo.
sedno każdej formy.
forma samego sedna.

to, co można zabrać na tamten świat. to, co na tam-
tym świecie jest potrzebne. bo tam — same głosy,
wieczność i zachwyt. swoją wieczność swoim głosem
swój baj o swoim zachwycie.

ani pracę, ani skarb, ani siłę, ani ciało, ani uczucia,
ani daleko, ani blisko, ani dużo, ani mało, ani kiedyś,
ani teraz, ani kiedyś. swoją wieczność swoim głosem
swój zachwyt — swój baj.

3. Wszystkie placki Sebastian dał Annie na śniada-
nie, bo nie było dokąd iść, bo nie ma dokąd uciekać.
Najważniejsze — niczego się nie bój.

Sebastian poszedł do nieboszczyka pomodlić się
(Boże, nie daj mi Cię skrzywdzić!) za opowieści jego
duszy i doczekać się Niezwykłych. Ci poprosili, by nie
przeszkadzać i poczekać dwa dni, choć po raz pierw-
szy ktoś z tej rodziny sam ich szukał, a nie na odwrót.
Sebastian powiedział, że nie zajmie dużo czasu, i nie
odstąpił. Powiedział szeptuchowi, że chce zostać szep-
tuchem. I poprosił o pracę barmana w barze należą-
cym do Niezwykłych.

W tym czasie *Co jes to jes* w Jałowcu stało się naj-
modniejszym powojennym barem modnego przed-
wojennego środkowoeuropejskiego kurortu. Po woj-
nie adres nieco się zmienił, ale nie obeszło się bez
istotnych nieporozumień. Mimo wszystko Jałowiec
ciągle znajdował się w ukraińskich Karpatach, a nie

w Republice Czechosłowacji. Ale już Stanisławów, Lwów i Ardżeluża znalazły się za zakazaną linią na Czarnohorze. Na gin do Jałowca przyjeżdżało się teraz głównie z Pragi, Brna, Bratysławy, Koszyc, Karłowych Warów i Użhorodu. I z Podiebradów, i Nustli, z Niemieckiego Jabłonnego, Liberca i Józefowa. Z obcymi łatwiej było się porozumieć po ukraińsku niż po niemiecku.

Niezwykli bez wahania się zgodzili, ale postawili jeden warunek. Sebastian zresztą też miał tylko jeden warunek. Obydwa okazały się jednakowe — Anna musi być w tym samym barze przy Sebastianie.

MÓWIĆ CZY PRZESTAĆ

1. W barze trzeba było coś zmienić. Sebastian opowiedział Annie o kilku wnętrzach, o których — jak mu się wydawało — marzył przez całe życie.

Anna zgodziła się, że piękno najłatwiej zapamiętuje się przez przedmioty. Przedmioty nietrwałe przechodzą z historii do historii. Jednak prawdziwy początek piękna to kwiaty, rośliny i to, z czego biorą swój początek i w co wyrastają: woda, przestrzeń powietrza, światło oraz trochę ciepła i zimna.

Zrobili, jak chciało dziecko.

2. Po skończeniu sześcioletniego szkolenia wojskowego Sebastian zawsze robił to, co chciała Anna. Nie uważał, że ją rozpuszcza. Zwyczajnie nie miał pojęcia, czego potrzebują małe dziewczynki (z chłopcem byłoby inaczej — Sebastian dobrze pamiętał, jak czuł się w różnych okresach dzieciństwa — ale może i gorzej, bo nie wiadomo, czy syn wszystko przechodziłby tak samo), i uważał, że mali ludzie dobrze wiedzą, kiedy jest dobrze, a kiedy źle. Najważniejsze pod-

sumowanie dzieciństwa — proporcje między śmiechem a płaczem. Jałowieckich kobiet, które usiłowały włączyć się w wychowywanie Anny, Sebastian po prostu do dziecka nie dopuszczał, a ich rady ignorował. Choć z powodu przebudowy karczmy wolnego czasu miał bardzo mało, każdego dnia opowiadał córce, czego nauczył się o życiu zwierząt.

3. Karczmę przerobiono na otwarty w kilku miejscach bar, bardziej podobny do ogródka. Z rzeczy w barze (oprócz stołów i ławek) były tylko przedmioty zrobione z przezroczystego szkła.

Przeważnie zasłonięte ciętymi kwiatami.

4. Tymczasem Anna coraz więcej czasu spędzała ze zwierzętami. Szczególnie lubiła ślimaki. Sebastianowi ślimaki się podobały, bo wydawały mu się dobrym przykładem wychowawczym. Ich powściągliwość oraz nieemocjonalność zmusza do uważniejszego myślenia o ślimaczych potrzebach, sympatiach, pragnieniach i zamiarach. Zupełnie inne manierę, autoekspresja i sposoby komunikacji dają większą przestrzeń do wzajemnego poznania. Anna była szczęśliwa, jeśli udało jej się położyć na sobie ślimaka w miejscu, z którego nie od razu chciał uciekać. Ślimak odwdzięczał się Annie delikatnym, powolnym pełnieniem po wybranym odcinku skóry.

Może przez to pierwsze doświadczenie Anna najlepiej potrafiła upodabniać się do ślimaków. Kiedy zaczęli się kochać, najczęściej i najchętniej stawiała się

ślimakiem. Sebastian podejrzewał, że w ten sposób próbowała pokazać mu, jak powinien się z nią obchodzić. Nie miała odwagi powiedzieć tego tacie wprost. Sebastian dziwił się: jak można aż tak znać i rozumieć tajemnice zwierząt. — Po prostu nie miałam nic do czytania — śmiała się córka.

5. I rzeczywiście, ta Anna nie czytała nawet Larousse'a, bo Sebastian nie znał francuskiego (walczył nie w Afryce Francuskiej, a Europa Środkowa daje możliwość porozumienia się ze wszystkimi sąsiadami w języku ojczystym). W pierwszych latach Anna bez przerwy ćwiczyła się w żołnierce, potem niemal nie wychodziła z baru, w zimie bywając w domu tylko na kąpiel, poza tym w barze słuchała tyłu historii, że wieczny i ponadczasowy Larousse sprawiałby wrażenie przedwczorajszej gazetki, i wreszcie — pokochali się tak, że żadna encyklopedia nie była w stanie pomieścić odpowiednich haseł.

Następne po ślimakach były rysie i pliszki. Z owadów — świerszcze.

6. Anna miała wtedy dziesięć, dwanaście lat. Kiedyś kąpali się w kilku potokach; w ciągu jednego krótkiego wrześnieowego słonecznego dnia Kewelowym zeszli aż do Cisy. Zdecydowali, że nie wrócą na górę, zanim się nie ściemni. Wiedzieli, że w tym roku rzeki więcej nie będzie, a chodzenie w całkowitej ciemności było nawet łatwiejsze — stopy same odczytywały drogę.

Sebastian patrzył na Annę, która nurkowała w rzece i wyłaziła na kamienie. Takich kobiet jeszcze nie widział. I nie wiedział, czy zobaczy — Anna szybko wyrastała, już się w niej wyczuwało przedsmak pierwszej Anny. Myślał, że jest winny, bo nie zapamiętuje tego piękna. Nie może przypomnieć sobie Anny zeszłorocznej, trzyletniej. W wyobraźni zawsze poruszała się dzisiejsza.

Nie muszę tego pamiętać, mówił sobie Sebastian. Zapamiętywanie dzieciństwa to sprawa dziecka. A ja chcę tylko jednego — żyć tak, by nie było potrzeby wspominać jej niegdysiejszej, żeby co dnia była dzisiejsza. Chcę żyć tylko z nią. Jestem tatą i dorosłym mężczyzną, wiem, co mówię o swojej dziewczynce. Nie muszę zapamiętywać — zresztą i ona będzie potrzebowała coś opowiadać, kiedy stanie się kobietą.

(Anna leżała w wirach między kamieniami).

A jednak spróbował coś zapamiętać. Jest jak delikatnie rozchodząca się gałąź, wybielona i obtoczona, wygięta i wysuszona przez rzekę. Wysuszona przez rzekę.

Musiał zanurzyć twarz w Czarnej Cisie.

7. W nocy, kiedy mijali Dźordżową Polanę i nie różniali swoich rysów, Anna zatrzymała go za rękę i powiedziała, że przyszedł jej do głowy wierszyk. Na pewno jest bardzo słaby, ale:

*jak smutno anno
och jak smutno
bo w anno domini sto setnym*

*nie chcę tylko twego wzrostu
tak po prostu jak gliniana miska
boi się rozrastania
giętkiej sosny
co rozkruszy jej starania
w tych miejscach za dużo
drobniutkiego piasku
wiatr roznosi
z trudnych wzgórz w pobliżu
pieką załzawione oczy
kiedy policzkiem dotykasz
dłoni
którą ściskam
uniesiony puszek na skórze
nie znam baju
na ten piasek
tak smutno
dziewczynko
w czarnym berecie
i ciężkich butach
ze żdźbłem trawy
w za szerokich ustach*

Anna sprezentowała wierszyk tacie.

8. Wszystkie te lata przepracowali w barze, który naprawdę szybko stał się najmodniejszy w całej Europie Środkowej.

Sebastian — jak swego czasu jemu Franciszek — zaproponował zamieszkanie w Jałowcu na ja-

kiś czas stałym korespondentom z kilku dużych gazet (i tak — pisał na kartkach pocztowych — w gazetach nigdy nie pojawia się nic naprawdę ważnego, tylko to, co wywołuje większość dzisiejszych nieszczęść — nadmiar informacji, której nie da się opowiedzieć... zrozumiałe, że istnieje pewna konwencja zabraniająca filozofom badania i opisywania niektórych rzeczy...), żeby razem napić się ginu i porozmawiać, tak jak trzeba rozmawiać w Europie Środkowej — odkrywając wspólne miejsca i ludzi, odkrywając przy okazji kilka równoległych pajęczyn, w których wszyscy się odnajdują.

Jałowiec stał się rajem dla pisarzy, dziennikarzy, eseistów, publicystów i reporterów.

Przyjeżdżali na gin, przyjeżdżali na Sebastiana. Jednych wysłuchiwał, innym opowiadał. Starał się, by nie było historii bardziej rozbudowanych niż na cztery ruchy.

9. I każdej doby pracowali z małą Anną dzień i noc, przeważnie razem, czasem — śpiąc na zmianę. Dziecko rosło w barze, myjąc szklanki, wycierając stoły i podłogi. Ścinając kwiaty do wszystkich szkielec. Czasem rozmawiali, ale jakoś inaczej. Teraz chodziło tylko o to, o czym się pomyślało na widok czegoś.

10. Anna lubiła się fotografować, fotografować ją lubili nawet ci, co nigdy nie robili zdjęć. Nie lubił tego tylko Sebastian. Dlatego zachowały się jedynie trzy fotografie, zrobione i podarowane widocznie przez

gości. Na jednej z nich Anna ma prawie dziesięć lat. To najciekawsza fotografia.

Postać Sebastiana nieco zamazana. Nic dziwnego — kręci się właśnie wokół własnej osi. W obu rękach trzyma noże. Widać, jak jednym już rzuca — akurat wypuszcza go z ręki. Anna nogami obejmuje go w pasie, plecy dotykają kolan Sebastiana, a włosy podłogi. W podniesionych rękach butelka ginu i kieliszek. Uśmiech wykrzywiony przypływem krwi do głowy i odśrodkową (dośrodkową) siłą (w takiej pozycji bardzo trudno jest zamknąć otwarte usta).

Mieli taką sztuczkę dla klientów. Wychodzili na środek sali i bez muzyki tańczyli skomplikowane tango. Na końcu Anna wskakiwała na Sebastiana, wirowali, Sebastian rzucał noże do celu (rzucanie nożem było ulubioną rozrywką w barze), a Anna łapała ze stołu butelkę i kieliszek, nalewała gin i stawiała kieliszek tak, że podjeżdżał prosto do kogoś. Nie rozlewając ani kropli.

11. Po śmierci Anny Sebastian próbował zebrać choćby część jej fotografii. Przypominał sobie odwiedzających, którzy mogli fotografować Annę, zdobywał ich adresy, rozsyłał listy z jedną jedyną prośbą. Na nic się to nie zdało. Nawet ci, którzy domyślali się cierpienia Sebastiana, nie chcieli pozbywać się takich fotografii.

TRZYDZIEŚCI LAT RODZINY S.

1. W 1921 roku, kiedy Sebastian sam przyszedł do Niezwykłych, wybrał dziwną formę wolności — stale opowiadać Niezwykłym o życiu swojej rodziny. Uniemożliwić śledzenie przez regularne sprawozdania. Zmieniając w ten sposób siebie i swoją rodzinę w zwykłą eksperymentalną hodowlę Niezwykłych.

Życ tak — mówił Franciszek — by nie mieć tajemnic.

Niezwykłych to zupełnie usatysfakcjonowało i przestali wtrącać się w ich życie — przekonali się, że Sebastian eksperymentuje z własnym życiem bardziej wyrafinowanie i okrutnie, niż zrobiliby to ktokolwiek z nich.

2. Swoje spostrzeżenia Sebastian posyłał Niezwykłym na zwyczajnych pocztówkach.

Ich tajnopis można by nazwać nieprozą.

Przesyłki nie układały się w normalne zdania, a zawierały skrócony zapis pewnej definicji, którą nazywał coś przeżytego — zdarzenia, wrażenia, dni, ludzi,

historie, uczucia, idee, całe mikrookresy. Niezwykli rozszyfrowywali nieprozę, potrafiąc wyobrazić sobie nawet więcej (co prawda, niekiedy coś całkiem innego), niż wiedział Sebastian.

Pocztówki składał pod kamieniem przy wyjeździe z Jałowca. Stary Beda, od czasu do czasu przyjeżdżając swoim pancernikiem, zabierał je i własnoręcznie adresował do Niezwykłych — zawsze wiedział, dokąd wędrują; poczta czekała na nich w miejscach postojów.

3. Trwało to prawie trzydzieści lat. W tym czasie Niezwykli tylko kilka razy przychodzili do Jałowca. Rozmawiali wtedy dłużej z Sebastianem i sami zabierali nie wysłane pocztówki.

Chronologia ich nie interesowała, z kolei dla Sebastiana w ogóle nigdy nie istniała.

4. Tylko raz nic nie napisał — w 1934 roku, kiedy urodziła się trzecia Anna, jego córka i wnuczka — i zmarła Anna, córka i żona.

5. W 1938 roku, kiedy powstawała Ukraina Zakarpaska, Niezwykli zrobili tak, jak wymyślił Sebastian — kupili duży autobus, urządzili w nim bar i Sebastian z małą Anną pojechał w stronę stolicy — do Chustu. W tym czasie zrobił dla rządu Augustyna Wołoszyna kilkadziesiąt kart opisów terenów górskich, a podczas godzinnego spotkania z naczelnikiem sztabu Siczy Karpackiej, pułkownikiem Kołodzinskim, wyłożył dokładny schemat obrony kraju przez dwie setki właści-

wie rozstawionych snajperów, osobiście wyznaczając każde stanowisko.

Barem Sebastian jeździł jak cyrk objazdowy również po okupacji Ukrainy Zakarpackiej — aż do 1944, kiedy po Madziarach przyszli Ruscy. Z tymi to się już nie powłóczysz.

Sebastianowi ledwie udało się zameldować w Nemeckej Mokrej za Königsfeld, gdzie zamieszkał w domu wysiedlonego przez Madziarów Tyrolczyka (autobus-bar zostawił przy drodze w Krasnyszorze i słyszał, że cały oddział radzieckich zwiadowców pił w nim kilka dni, a potem wszyscy utonęli w Tereswie, jak tylko go odpalili i ruszyli).

6. Sebastian z Anną mieszkali w Mokrej w najprymitywniejszy sposób. Jedli kuleszę trzy razy dziennie, Anna była wzywana do szczepienia jabłoni (taką miała dobrą rękę), Sebastian zamawiał ludzkie strachy. A nocami prowadził skomplikowaną radio-grę, pozorując w eterze działalność kilku radiostacji nie istniejącej partyzanckiej grupy Ziemi duchy.

7. W 1949 roku Anna zatrula się sporyszem i zaczęła widzieć średniowiecze.

Niezwycie powiedzieli, że musi pójść z nimi, jak tylko stanie się kobietą.

Właśnie z tego powodu Sebastian nie zaprowadził jej do rodzinnych miejsc, kiedy skończyła piętnaście lat. Do Jałowca ruszyli dopiero późną jesienią 1951 roku.

Niezwykłych enkawudziści spalili na wiosnę.

A kobietą Anna została w czerwcu.

Kochali się z Sebastianem całe lato i jesień nieprzytomnie.

NIEPROZA

1. nie mówić do k. w taki sam sposób

(k. — kobiety — Anna jest jeszcze maleńka i Sebastian wymyśla dla niej pieszczotliwe nazwy — zauważa, że dziewczynka robi się wroga, kiedy zwraca się do niej tymi słowami, którymi nazywał jej mamę — nawet bardzo udanymi — w opowieściach, które opowiadał niegdyś swojej Annie, musi zmieniać choćby kilka słów, żeby spodobały się córce — nawet jeśli chodzi o proste historyjki Brehma — a najważniejsze, że nie można mówić tego samego o miłości — nie tylko jednakowych słów czy zdań, ale i powtarzać się w opisie odczuć — Sebastian wytwarza cały erotyczny leksykon, kochając się z trzema pokoleniami swoich kobiet)

2. tatuaż na dłoni

Sebastian zabawia małą Annę, rysując jej na dłoniach kotki, rybki, choinki, zajączki, ptaszki — Anna godzinami ogląda, jak zmienia się rysunek w zależności od ruchu dłoni — kiedyś w barze występował

treser żab — jego żabki są małeńkie jak jeżyny i różnokolorowe — najwięcej jednak jest białych — treser ma tatuaż — duży kolorowy irys między łopatkami, długa łodyga oplata całe ciało — Anna też chce tatuaż — długo wybierają, oglądając klucz roślin karpackich — Anna przypomina sobie rysunki z dzieciństwa — ale prosi, by jej wykluć choćby taką żabkę, jak miał sztukmistrz — dłoń — dość bolesne miejsce, Anna jest jednak cierpliwa — tatuując Annę, Sebastian myśli o liniach przeznaczenia — są jednak rzeczy ważniejsze od niego — tatuaż na dłoni nie wszyscy mogą zobaczyć — teraz Anna wita się, podnosząc rękę — kochają się, Anna patrzy na rękę i składa się jak żabka — potem wypuszcza z siebie powietrze, które wchodzi w nią razem z Sebastianem — kilka godzin po śmierci Anny żabka traci kolor i staje się biała)

3. strach — największa pokusa

(Sebastian do Anny — jesteś i świat jest razem z tobą — i tylko strach odrywa od ciebie cząsteczki i tworzy inny świat obok ciebie bez ciebie — chce się bać)

4. wyciskać pomarańczę do ust

cytryna zasycha na białło

(jedna z wymyślonych przez nich zasad — pomarańczę kroi się na pół i nalewa kieliszek ginu — klient wypija gin i od razu odchyła głowę z otwartymi ustami w tył — barman wyciska sok z pomarańczy nie do szklanki, a bezpośrednio do ust)

(Anna jest bardzo zmęczona — Sebastian wyciska sok z cytryny na skórę na łokciach, nad obojczykami, na brzuchu, między ścięgnami na śródreczu, pod krtańnią — sok się wchłania i tonizuje — strumyki wyciekają z cytrynowych jeziorok i wysychają, zostawiając gęsty, biały ślad — tak samo bieleją palce, kiedy obiera się dużo cytryn)

5. b. b.; całkiem inna własna

(b. b. — bez biografii — w Jałowcu wszyscy się znają — wszystkie biografie są znane — w wolne dni Sebastian z Anną jeżdżą do kurortów w dolinie Prutu — gdzie jest wielu obcych, gdzie nikt ich nie zna — do Tatarowa, Dory, Delatynia, Łuhów, Mikuliczyna i Jamnej — zatrzymują się w przypadkowych pensjonatach na kilka godzin — kochają się — opowiadają w pociągach i hotelach zmyślane historie o sobie — za każdym razem zachowują się inaczej — odpowiednio do wybranej roli — czasem Sebastian ma wrażenie, że dopiero co poznał się z tą kobietą — tak samo z mieszkaniami — często po nocnej pracy idą na cały dzień do pustych mieszkań przyjaciół — przymierzają siebie do cudzych przedmiotów, do cudzych zwyczajów, oglądają albumy z cudzymi fotografiami — albo z językami — idą do pasterskich kolib na połoninach — mówią nie po huculsku — proszą o mleko, żętycę, maślanekę, kwaśne mleko, bundz — słuchają, jak Huculi próbują zrozumieć, co o nich między sobą mówią)

6. siedemnaście kamieni w przód

(dawno temu — kiedy Sebastian szkolił córkę po żołniersku — takie ćwiczenie — przejść przez rzekę po kamieniach, nie zatrzymując się ani na moment, przechodząc i skacząc z kamienia na kamień — patrząc z brzegu na drogę tylko trzy sekundy — spróbowali znowu, kiedy druga Anna była w ciąży — zobaczyła i naliczyła siedemnaście kroków w przód)

7. rozumienie — sprawa tego, kto ma zrozumieć

(to fragment wieloletniej dyskusji między Sebastianem a Niezwykłymi — oni uważają, że problem rozumienia powinien rozwiązać ten, kto daje rozumienie — Sebastian, przeciwnie, bo chodzi o aprioryczną niemożliwość identycznego rozumienia — również w praktyce stosuje się do swojego punktu widzenia — zawsze opowiada tak, jak chce, co prawda, wyczerpująco odpowiadając na wynikłe pytania — mówi, że woli retorykę oszczędną od nadmiernej — znaczeń więcej niżli słów, nie na odwrót)

8. epos rodzinnych miejsc

(Sebastian, w ślad za Franciszkiem, uważa, że podstawą każdego prywatnego eposu jest wyliczenie wyobrażeń o miejscach, w których historia rodzinna się toczyła — rodzinna geografia roślin — w wypadku ostatniej Anny najważniejszymi punktami eposu powinny być Mokra, Jałowiec, Czarnohora, Stanisławów, Praga, Afryka, Lwów, Triest, Borżawa, Szarysz, Bolechów, Pietros, Czarna Cisa)

9. dziecko-zabójca

(wiosna 1944 — ostatnia wiosna autobusu-baru — kolumny ciężarówek na górskich drogach — niektóre auta stoją tygodniami — bezsilność władzy — jedyny motyw — na Zachód — żołnierze mieszkają w barakowozach, w dzień czekają na ewentualny odjazd, w nocy włóczą się po okolicy — kilku węgierskich kaprali pije całą noc w barze — Sebastian rozpoznaje wśród nich dwóch rumuńskich opryszków, którzy dwadzieścia lat temu odcięli Franciszkowi głowę — pokazuje ich ukradkiem Annie jako fragment prywatnego eposu — nie wiadomo, czy opryszkowie-kaprale mogli sobie przypomnieć Sebastiana, ale nikt nikomu nie mówi ani słowa — rano Węgrzy idą spać do ciężarówki, a Sebastian z Anną podjeżdżają trochę do przodu — Anna prosi, żeby bardzo szczegółowo opowiedział, jak to było z Francem — w dzień bar jest zamknięty, Sebastian kładzie dziecko spać i sam zasypia — budzi się, czując, że ktoś rusza przypięty do pasa pistolet — sprawdza, pistolet na miejscu, a Anna siedzi obok i patrzy w chmury — tak przejrzyste, aż widać, co w środku: drobniutkie kulki wilgoci, jak ikra na wodorostach, kołyszając się na wąskich smużkach gęstych strumieni pary, wciąż w takim kolorze, jak podświetlony krzemień — kilka dni później ktoś opowiada, że dwóch Węgrów, w rzeczywistości Rumunów, zastrzeliło się w środku dnia na aucie, gdzie spali kaprale — Sebastian zauważa, że w pistolecie brakuje dwóch pocisków, Anna myje szklanki — żeby zabić zabójców, myśli Sebastian, musiała sama wracać dziesięć kilometrów)

10. dyfuzja — wchłaniać się wzajemnie, wchłaniać się w siebie nawzajem

(Sebastian odkrywa teorię wchłaniania zwrotnego — eksperymentuje z korzeniami — przenosi wnioski na ludzi — dowodzi, że mężczyzna wewnątrz kobiety nie tylko wydziela ciecze, która zostaje wchłonięta przez kobietę, lecz sam też wchłania trochę kobiecej wilgoci — jak w zjawiskach kapilarnych, zgodnie z prawem naczyń połączonych — Sebastian wierzy, że w ten sposób odbywa się ogólnościowe mieszanie substancji, co wydaje mu się nadzwyczaj ważne — w każdym razie on sam pragnie przyjąć jak najwięcej tego ekstraktu)

11. koniak z zupą cebulową; sok z pędów winorośli; porter z dzikim miodem; gin z czerwonymi mrówkami

(pewien Arab, jeszcze w Afryce, mówi Sebastianowi: przede wszystkim ucz swoich synów przyrządzać potrawy, będą mądrzy i radośni — Sebastian nie ma synów, ale ma córkę Annę — uczy ją przygotowywać jedzenie: opowiada, że wymyślania potraw nie trzeba się bać, tak samo jak najlepszych przygód — przygotowywanie pożywienia dla kogoś zawsze ma sens, podobnie jak wychowywanie dziecka czy hodowanie rośliny — zajęcie, które wraca do prostolinijności zwierząt i ptaków, kiedy pytanie, co i dla kogo się robi, jeszcze nie wynikło — ciekawość, którą można podarować — przeciwstawienie rozmaitych żywiołów i sensów, które można nauczyć wspólnego życia —

początek wszystkich smaków bierze się z roślin — dlatego że nie mają końca, nie ma końca przyrządzanie jedzenia — Anna zaczęła od baru — gotowała porter z plastrami miodu dzikich pszczoł — podawała gorącą zupę cebulową tuż po koniaku i ponownie koniak na oparzone podniebienie — wrzucała do ginu kilkadziesiąt skrzydlatych czerwonych mrówek (wierząc, że zabijanie dla jedzenia nie jest grzechem), które swoim kwasem dodawały spirytusowi ostrości — chłodną wiosną ścinała winorośl z zarośniętych balkonów i zbierała sok z ich gałęzi, potem rozpuszczała nim jałowcówkę w proporcjach 2 do 1 — i tak ze wszystkim)

12. deszczowy pensjonat

(w czasie jednego z wyjazdów do doliny Prutu Sebastian z Anną zatrzymują się w maleńkiej willi w stylu zakopiańskim — kiedy się kochają, zaczyna padać — jeśli w Karpatach zaczynają się takie deszcze, to trwają całymi tygodniami lata — czemu dziś bardzo tak cię chcę, pyta Anna — kiedy o coś pyta Sebastiana, zawsze robi to po dziecięcemu — jak córka, nie jak kobieta — Sebastian też zapomina, że Anna to nie dziecko — odpowiada prosto, prawdziwie, rzetelnie, obrazowo i mądrze — żeby było zrozumiałe do końca życia — człowiek koniecznie potrzebuje tarcia i nacisku ludzkich płaszczyzn — ilość ich jest dana przed urodzeniem, jak ilość uderzeń serca — a my tak długo nie — Anna podsuwa różne kawałki ciała — ciało to brama duszy — brama jest otwarta — od dotyku du-

sza nabiera życia — obserwować przez otwarte okno, jak zmienia się siła opadów — inaczej można nie wrócić z lotu — wychodzą z pensjonatu — wychodzą z lasu — nagle deszcz ustaje — idą połoniną — Anna chce jeszcze — kochają się w nagrzonej trawie, pod rozrzedzonym powietrzem, które ledwie powstrzymuje światło słoneczne — Annie jest tak dobrze, że zmieniają się płaszczyzny, że chce się o tym rozmawiać jutro — jeśli jest jutro, jeśli jest mówić, jeśli są płaszczyzny — bo kilkakrotnie jest nieobecna, nawet tu i teraz — Sebastiana zabiera ze sobą — jest w niej tak daleko, że sądzą, że w ogóle go nie widać — ptaki siadają na ziemię i patrzą z bliska — bez wstydu patrzą na ptaki i widzą otwartość ogromnej Anny, która ledwie mieści się w oku — nie mogą dłużej oddawać się słońcu, ale chcą jeszcze głębiej — zbierają się (teraz Anna robi się małą, nagą dziewczynką o szerokich ustach) tam, gdzie może być mokro — biegną do leśnej willi — może trzeba się ruszać, ale daj położyć bez ruchu, bo kręci się w głowie — za oknem pada deszcz — mogą dać dużo wilgoci — leżą bez ruchu i przytulają się — Sebastian wyobraża sobie, jak Anna pierwszy raz karmi taką samą dziewczynkę — Anna marzy o tym, jak pierwszy raz patrzy na takiego samego chłopczyka — dobrze jest nie tobie i nie mnie, nie nam, a światu — ty mnie taką zrobiłeś)

13. historia spojrzenia wzdłuż policzka
powieść ust
cały esej w pudełku zapalek

(ostatnia Anna ma kilka lat — to najcięższe dni 1938 roku — wszystko, co Sebastian opowiada małej na noc, albo źle się kończy, albo traci sens, bo wyrzuca z opowieści niedziejące fragmenty — dzieciom trzeba czytać na głos, Sebastian jest tego pewien — dzieci powinny oglądać książki, widzieć tatę z książką, litery, kartki z literami — dzieci powinny chcieć doczekać się samodzielnego rozumienia książki — gdyż mówi się: bo tak jest napisane — zobaczyć wiele dawnych głosów, żeby lepiej wyróżnić własny — nasze Larousse'y dawno już się skończyły — Sebastian robi cudaczne książki — rozcina pocztówki i werniksuje fragmenty, małeńkie kawałki papieru ponumerowane składa w pudełku zapalek, opisuje ściany, stół łóżko, drzwi — sam pisze to, co napisane — pisze różnymi głosami — wieczorami kładzie się obok Anny i czyta na głos historię spojrzenia wzdłuż policzka, powieść ust, esej w pudełku zapalek, kronikę nieobecnego kronikarza, epos stacji kolejowych, bajki ptasich potraw, traktat filozoficzny bluszczu — Anna słucha różnych głosów i usiłuje usłyszeć swój — i rzeczywiście coś ruszyło)

14. często całować

pocałunek przez sweter

(w ciągu dnia Sebastian dziesiątki razy dokładnie przylega otwartymi ustami do ubranej Anny, mocno i długo wydycha całe powietrze z płuc — przez sweter przechodzi ciepło i w połowie wydechu skórze w miejscu pocałunku robi się gorąco — jeśli powtarza

się to często, własnym można ciepłem znacznie ogrzać całowanego, nawet przy dużym chłdzie — odczucie wzmacnia się przez magiczne znaczenie przekazywania z siebie w ciało drugiego czegoś, co jest samym życiem)

15. ta niedostępna struktura — jak mózg, jak orzech, jak zaciśnięta pięść, jak nasienie

(pewnego razu Sebastian czuje, że rozwija się w nim jakaś psychoza — między Annami nie ma i nie może mieć żadnych innych kobiet — ale w którymś z tych okresów rozumie, że sensem erotyki nie jest obiekt, a droga — obcowanie cielesnych krajobrazów — wejście, przejście, pobyt, powrót — cud każdego przejścia — droga, która sama prowadzi — wszystko ogarniająca jednostajność — miejsce, w którym można spotkać się z wszechświatem — jego psychoza polega na wywołanej niedostępnością przesadnej nostalgii — nawet neutralne sytuacje ocenia jako takie, które są albo w, albo poza — niekiedy aż się mu zdaje, że realizuje wędrówki tym szlakiem cały — przesuwając się, przeciskając, przebywając, zamierając, zapadając się, wślizgując, wpadając — tylko dlatego, że wędrówki są wyobrażone, myśli, że żyje niewłaściwie, bezbożnie marnując życie)

16. widzieć średniowiecze

(1949 rok — w górach wielki głód — Anna je surowe ziarna żyta, zarażone sporyszem — widzi średniowiecze, w którym dzieją się obecne zdarzenia — ścięte

głowy, tortury, walki uciekinierów, przybywanie obcych, zniszczone twarze, szerokie pasy, lekcje gramatyki, bestiaria, muzykanci na ucztach, brak żywności, wycięte lasy, zaśmiecone rzeki, mieszanina języków, suszone owoce, choroby wrzodowe, szalone spektakle, zgubione kroniki, rękopiśmienne apokryfy, cuchnący przyrodziewek, brudne naczynia, połamane ręce, zmiażdżone nogi, rozciągnięte ścięgna)

17. sześć

(ostatnia Anna ma sześć lat — Sebastian ją kąpie — zauważa, że cztery ciemniejsze od skóry kropczki pod żebrami i na brzuchu w rzeczywistości są nierozwiniętymi sutkami — przypomina sobie największe marzenie Franciszka — czy ten odważyłby się choćby o tym pomyśleć — jego prawnuczka ma trzy pary piersi)

18. (stary Beda z jakiegoś powodu jednego pakietu pocztówek nie zabrał spod kamienia. Znalezione je dopiero pod koniec lat pięćdziesiątych, podczas likwidacji austriackich dróg wojskowych w piętrze subalpejskim. Wszystkie, co do jednej, były fotografiami ze znakomitej czarnohorskiej serii z lat trzydziestych. Sowietci wciąż nie mieli żadnych własnych karpackich widokówek, więc te — zrobione „rybim okiem” — oddali do muzeum krajoznawczego w Worochcie. Napisy ołówkiem na odwrocie trudno było zrozumieć)

poczucie dyskomfortu — to ślady poprzedniego smaku na służówce, zmuszające do szukania kolejnego

w każdym okresie — nowy slang; jak nowy byt; języki mijają wolniej niż okresy. Kumulują się, zajmują coraz więcej przestrzeni, wyciskając kanon języka — znaczą dla nas więcej. Wkrótce dojdziemy z A. do tego, że będziemy rozmawiali wyłącznie własnymi zdaniami

lato białego wina; przywyknąć do austriackiego zielonego wina

spotykałem się z Pułkownikiem i Jarym

wszystkie okresy mijają (widzę to już po drugim dziecku i trzeciej kobiecie)

dobrze jest wiedzieć, że jesteś, gdzieś zawsze jesteś wiara w to, co było w dzieciństwie

myśleć o tym, jak noga trafia między nogi i zostaje potarta

zasnęła przy piecu z atlasami roślin na kolanach

kiedy sikasz na mech, zabijasz kryjące się w nim tam motyle, które udają rozwinięte listki

teraz już nikomu nie zazdroszczę, bo widziałem łyzy dobroci

można jej było więcej niż (dlaczego niektórym kobietom wszystko można, może dlatego, że wszystko mogą)

kopacze jedzą rękami

animacja na słońcu, na chmurach, na księżycu

deformacja skręcania

taka pełnia bytu, że można rozpułnąć się wewnątrz (gdyby można było wiedzieć, co te nie rozszyfrowane listy poetyckie znaczyły — co znaczą [moje Anny nie były, nie będą, a są, zawsze są, tak dobrze jest

wiedzieć, że gdzieś tam zawsze są]. Gdybyśmy znali więcej ludzkich losów, mówił Sebastian. Często w tym cały terapeutyczny klucz do baju).

Teraz zbiór pocztówek z Czarnohorą przechowywany jest w muzeum Narodowego Karpackiego Parku Krajobrazowego w Jaremczy.

MIEJ PIĘKNY BAJ (NA PRZYKŁAD)

1. Sebastian opowiadał tylko to, co mogło być, i dlatego było tak, jak opowiadał.

Zanim zaczął mówić, całe lata tak naprawdę tylko patrzył i myślał, jak opowiadać historie.

2. Sebastian mówił, że może opowiadać ludziom o ich życiu tak, że będą chcieli żyć wiecznie, nic nie zmieniając. I ludzie rzeczywiście chcieli żyć wiecznie i nic nie zmieniać.

Sebastian mówił, że nawet na przesłuchaniu nie powie wszystkiego o swojej miłości, o swoich miłościach do Ann. I rzeczywiście — na przesłuchaniu Sebastian nie powiedział wszystkiego, bo złamał się i mówił wcale nie tak, jakby chciał, jak nigdy w życiu nie pozwalał sobie opowiadać.

3. Potem opowiadał, że nic dziwniejszego nigdy nie słyszał. Zabrali go prosto z drogi w Königsfeld. Mieszkali wtedy w Mokrej. Sebastian szedł do domu, wracał z bacówki pod Tempą. Tam jednego drwala

przygniotła ścięta choina. Nie zabiła na miejscu, ale przestał żyć — leżał tak ni tu, ni tam. Drwał był nie-tutejszy — przyjechał gdzieś z Berezowa, dlatego nie było go dokąd zabrać. Zakopać takiego grzech, więc przyjechali w nocy po Sebastiana końmi na oklep. Sebastian obejrzał przygniecionego i zauważył, że ten zapomniał, jak się oddycha. Posiedział obok niego i opowiedział potrzebną bajkę. Berezowianin przypomniał sobie wszystko, wstał i zaprosił Sebastiana do Berezowa. Musiał się jakoś odwdziżyć, ale teraz wycinał las; oddał wszystko, co miał — bryłę bundza.

4. Sebastian zatrzymał się w bacówce trochę dłużej, bo musiał czegoś posłuchać o Berezowie — nigdy tam nie był, choć znał wielu ludzi stamtąd.

Sebastian mówił, że najciekawiej jest słuchać, kiedy ktoś opowiada o miejscach, których się nie zna. Prosił, żeby opowiadać tak, jakbyś szedł, patrzył i mówił, co widzisz. Potem tak, jakbyś jechał rowerem czy konno (trochę wyżej; wtedy wszystko zmienia się nadzwyczaj wyraźnie), dalej — jakbyś wdrapał się na wierzchołek drzewa. I obowiązkowo wyciągał mapę miejscowości, i prosił o opisanie wszystkich zaznaczonych punktów.

Nawet na wojny, obozy i wszelkie kataklizmy Sebastian patrzył przede wszystkim z tego punktu widzenia: jak wielu ludzi się spotyka, kto i skąd pochodzi, kto gdzie wyrósł i gdzie bywał. Wielkie wydarzenia sprawiają, że ludzie mieszają się, a podstawą mówienia i sposobu myślenia staje się geografia porównawcza.

5. Sebastian niósł dla Anny bryłę sera na kolację i śniadanie. W Königsfeld przy zakładzie szewskim u wejścia stał jak zawsze wyniesiony na zewnątrz stół, przy którym kilku mężczyzn grało w karty. Reszta patrzyła. Sebastian już w Afryce nauczył się porównywać drogi, którymi poruszał się codziennie, z wczorajszymi. Wczoraj (i przedwczoraj, i przedprzedwczoraj) nie było trzech gapiów. Kiedy zobaczył, jak na niego patrzą, zrozumiał, że przyszli właśnie po niego.

6. Sebastian wciąż mógł uciec — skrócić między kolorowe drewniane chatki, ogrodami zbiec na brzeg i popłynąć między kłodami Brusturianką do Tereswy, Tereswa zaniósłaby go do Cisy, a Cisą po kilku dniach byłby już w Dunaju, i mógłby albo zawrócić do Wiednia, albo ruszyć w stronę Deltę, a tam — tam jest niekończoność kryjówek do końca życia.

Wiedział zresztą, że rzeki najlepiej wiążą cały kontynent, bo wszystkie miejsca na kontynencie połączone są ze sobą przez nie więcej niż cztery rzeki.

7. Już w Afryce Sebastian nieraz zmuszony był rękami pokonywać ogromne odległości, całymi dniami nie wychodząc z wody. Przekładał tylko z kieszeni do aluminiowej manierki z wyrytym imieniem i numerem pułku wszystko, co nie mogło zamoknąć, i płynął w ubraniu z prądem, popychając przed sobą kilka związanych lekkich żerdzi, na których leżał karabin.

Okolice widziane z poziomu powierzchni wody — kiedy spojrzenie ślizga się po linii brzegowej — są nie

mniej ciekawe niż z lotu ptaka. A rzeźba dna czasem jest nawet bogatsza. Nie mówiąc o tym, że wszystko, co najciekawsze w życiu ludzi, odbywa się na brzegach, nad wodami rzek.

Ostatnim razem dopłynął do dziwacznej sieci kanałów z niemal gorącą wodą i nieziemsko bogatą roślinnością na dnie, dalej — do resztek podtopionego fortu.

Czemuś właśnie to śniło mu się najczęściej w ciągu całego życia. To była jego nostalgiczna Afryka. I przejrzyste zatoczki, i mnóstwo przepływających żółwi.

Teraz jednak nigdzie nie mógł popłynąć — Anna czekała na tatę.

8. W Königsfeld Sebastian mógłby zapewne strzelać — jeśli zrobi to pierwszy, trafi po kolei wszystkich trzech, i upadną naraz. Tak kiedyś zastrzelił ślepego zabójcę i jego dziecko.

9. To były czasy, kiedy wokół Jałowca szwendało się wielu uzbrojonych ludzi, którzy w góry przenieśli polowanie na siebie nawzajem. Często zdarzało się tak, że najpierw strzelali, później odwracali ciało i patrzyli kto to. Sebastian musiał trzymać pistolet w pogotowiu — pod ładą, tam, gdzie grejpfruty, matowy słoik z cynamonem i duża szklanka z orzechówką na jego użytek.

10. Kiedy do baru wszedł niewidomy z kilkuletnim dzieckiem na barana, nikt nawet nie pomyślał, że

mogą być niebezpieczni. Sebastian parzył kawę z haszyszem dla trzech rastafarianów, którzy grali z Anną w słowa — Anna jedno i to samo powtarzała po ukraińsku, huculsku, polsku, niemiecku, słowacku, czesku, rumuńsku, węgiersku, a oni zgadywali, co to znaczy.

11. Takie lingwistyczne gry Sebastian zaczął wymyślać dla Anny po tym, jak zauważył, jak łatwo rozumie nie tylko wygląd i zachowanie zwierząt, ale i ich języki. Jej doskonały słuch w języku zwierząt wyróżniał więcej odcieni, niż istnieje słów, którymi na co dzień posługują się ludzie. Był taki okres, kiedy Anna niemal całkowicie przeszła na nieludzki język, a Sebastian odpowiadał jej tak samo. W końcu się zreflektował — jeszcze chwila i stracą umiejętność rozmawiania. I powymyślał tyle zabaw, że zaczęli mówić o lingwistyce — niekiedy bardzo skomplikowane przemyślenia — jak o zupełnie zwykłej rzeczy.

Gra w słowa kończyła się tak, że do każdego wyrazu Anna musiała wymyślić zgrabne zdania w różnych językach, a zdania ułożyć w sensowny akapit. Wątek akapitu tworzyły przeważnie nastroje i mechanika, sposób myślenia użytych języków, albo może raczej polegało to na artykulacji — żeby wymawiało się przyjemnie, trudno, śmiesznie, strasznie czy jeszcze jakoś inaczej.

12. Rastafarianie byli najemnymi zabójcami. Nikt się ich jednak nie bał, bo wszyscy o tym wiedzieli. Pierwsi po Stefanie najemni zabójcy w Jałowcu. Przy-

jechali z Budapesztu i wykonując zlecenie Nanaszki z Szegedu, wyłapywali i likwidowali w górach wszystkich dostawców — Żydów, Czechów, Ukraińców ze spółdzielni mleczarskich, którzy próbowali organizować sprzedaż i eksport serowych koników.

Trafiwszy do Jałowca, rastafarianie weszli do *Co jes to jes* i zasiedli na kilka miesięcy, częściowo latyno-amerykanizując karpackie miasteczko — przynieśli do Jałowca mate, kolorowe luźne męskie koszule, śpiewane samby, robione na drutach ogromne berety, zwyczaj spania w hamaku, wystawianie w lecie doniczek z kwiatami na schody, jedzenie kolacji na balkonie.

Wykalkulowali, że można nie biegać po górach za dostawcami, a siedzieć w jednym miejscu i czekać, aż sami przyjdą.

13. Sebastianowi najbardziej spодobało się jak rastafarianie potrafili całe dnie spędzać na brzegu rzeki — leżeli, kapali się, patrzyli na wodę i chmury, palili, spali, nic nie mówili, jedli po warkoczach serowych koników, rysowali coś kamykiem na kamyku, stawali na rękach. Albo tylko pili gin. Jak prawdziwe drapieżniki, wchłaniali słońce i oszczędzali siły. Czasem zabierali ze sobą Annę.

Dziewczynka się z nimi nie nudziła.

14. Sebastian ani trochę się nie martwił, kiedy Anna szła z rastafarianami. Choć oczywiście starał się chronić dziewczynkę przed klientami, którzy zwracali na nią uwagę. Zwłaszcza później, kiedy druga Anna zmie-

niła się w podlotka; osobiście znał kilka poważnych osób, które przyjeżdżały do Jałowca tylko po to, by posiedzieć w barze i popatrzeć na jej dłonie czy usta.

15. Jedną z tych osób był anonimowy rzeźbiarz.

Zachwycony rzeźbiarskim stylem średniowiecznych gildii, prymitywnymi figurkami ludowymi i dawnymi afrykańskimi statuetkami, wycinał kopie drewnianych rzeźb i sprzedawał podróbki kolekcjonerom, szczerze wierząc, że wypełnia pewną misję, że odpowiednia ilość takich figurek może zmienić świat na lepsze. W huculskich wsiach nie był lubiany, bo za ogromne pieniądze usiłował wykupić wszystkie figury z cmentarzy i kościołów. Odmawiając mu, gromady obawiały się, że kiedyś wróci i albo coś ukradnie, albo wszystko z rozpaczny podpali.

Mieli trochę racji. W Pradze rzeźbiarz dopiero co miał sprawę sądową, zakończoną wysoką grzywną, za umyślne podpalenie kilku sklepików z papierowymi kwiatami. W taki sposób występował w obronie prawdziwego piękna.

Sebastian doskonale go rozumiał.

Rzeźbiarz przyjeżdżał już kilkakrotnie, odkąd pierwszy raz ujrzał Annę. Chciał wydać podręcznik anatomii dla artystów, nie odwołujący się do współczesnych wyobrażeń o budowie ciała.

Mówił, że Anna jest doskonałą modelką dla średniowiecznych figurek królowej Saby, wiejskich nagrobnych piet (Maria, Maria Magdalena, Maria — Matka Jakuba Mniejszego oraz Józefa i Salome) i nagich mu-

rzyńskich królewien (ale z Afryki Środkowej — delikatnych, długich, z wydłużonymi głowami i bardzo gibkich) jednocześnie. Na wygląd, na giętkość, na twardość.

16. Tymczasem Anna miała jakieś przedziwne poczucie wierności i oddania, i rzadką umiejętność ustanawiania własnego dystansu, który tylko ona miała prawo zmieniać. Łatwo było się z nią zaprzyjaźnić, ale uwieść — niepodobna.

Dlatego tak naprawdę Sebastian nawet nie napomykał, by wystrzegą się rzeźbiarza czy rastafarianów.

17. Między innymi dopiero po tym, jak sam Sebastian po nocnej pracy poszedł kilkakrotnie z rastafarianami nad rzekę, uświadomił sobie ostatecznie, jak sensownie i słodko można nic nie robić.

18. Jeszcze jedna rozrywka rastafarianów, która też strasznie spodobała się Sebastianowi i bardzo szybko objęła całe miasto.

Przechodząc przez jałowiecki Rynek, rastafarianie zbierali pełne kieszenie kasztanów, których cała masa spadała z drzew. A w ciągu dnia robili z nimi przeróżne przyjemne i skomplikowane rzeczy — rzucali na dachy (a kasztany toczyły się po dachówce i leciały na bruk, jak z trampoliny), celowali do rynien, zonglowali nimi, toczyli po stole, próbując sobie wzajemnie puszczać kasztany między butelkami, podrzucali je aż do ptaków i obrzucali się nimi, spławiali po kilka na-

raz kanałami, wrzucali do szklanek przed nalaniem ginu, wręczali je nieznajomym i znajomym, zostawiali po sobie na brzegu rzeki, w barze, na miejskich ławkach i huśtawkach, na stole bilardowym.

19. Skądinąd swój pierwszy tydzień w Jałowcu rastafarianie przemieszkali na stole. Traf chciał, że w całym mieście nie znalazł się ani jeden wolny pokój. Tułać się po kątach nie chcieli.

Rastafarianie zapłacili Sebastianowi za godzinę bilarda, nie wzięli nawet kijów i bil, a pozdejmowali buty i położyli się na stole.

Jeden zapytał, czy nie jest to zabronione, Sebastian zdecydował, że nie, bo spełnione są oba warunki — bilard został opłacony i nikt niczego nie niszczy. Po pierwszej godzinie rastafarianie zapłacili za dwie, potem za dobę, i w końcu — za tydzień z góry.

20. Akurat kiedy się pojawili, był sezon zbierania trawy, i było jej morze. Rastafarianie palili skręta za skrętem, rozdając je też wszystkim gościom. Niektórzy goście kurortu stali się rastafarianami, a dziennikarze godzinami słuchali o Jamajce. W barze było tak nadymione, że każdy, kto nie palił, i tak musiał wdychać dym, i wcześniej czy później odlecieć.

21. Kiedy Sebastian prał swoje i Anny ubrania robocze, woda stawała się nie tyle brudna, co żółta — od wymytych spomiędzy nitek osadów kannabinolu.

22. Mała Anna też stale była na hajju.

(Sebastian przypomniał to sobie w 1947 roku, kiedy z oddziałem Czuhajstra zatrzymał się na noc w chacie pod Hutą. Po kolacji trzydziestu partyzantów zapaliło bakun, a w środku nocy okazało się, że od dymu zmarło niemowlę, śpiące w chacie za zasłoną).

Najpierw się przestraszyła — było jej tak dobrze, aż zdawało się, że tak zostanie na zawsze.

23. Wkrótce Anna zaczęła palić często, ale tylko w obecności taty — ten nie chciał, żeby ich konopiane doświadczenia zbyt się różniły.

Raz po haszyszu poczuła, jak Bóg wysunął spośród chmur palec, ona podniosła swój do nieba, i tak pomilczeli sobie kilka minut w nieskończoności, dotykając się opuszkami.

Niedługo potem czasy się zmieniły i minął okres haszyszu.

Ciekawe, ale znacznie później, kiedy podrosła i Sebastian opowiadał, co czuje, kochając się z nią, zawsze przypominał jej się konopiany odbiór świata.

24. Kiedy do baru wszedł niewidomy z dzieckiem, nie paliła, tylko grała z rastafarianami w słowa i brzdąkała na drumli reggae.

Niewidomy był ubrany w zwyczajny europejski garnitur — Sebastian mimowolnie dostrzegł kilka dziwacznych kolorowych łatek w różnych miejscach marynarki — a na ramionach siedziało mu kilkuletnie dziecko w poplamionym swetrze. Ślepy miał wy-

bite oczy, a o dziecku nie można było powiedzieć: chłopiec czy dziewczynka. Szli prosto do baru, małe jakoś rękami kierowało mężczyznę. Trzykrotnie musiało mocno nachylać się nad głową ślepego, zanim doszli do bufetu. Zginało się, omijając oparcia krzesel przyśrubowanych nogami do sufitu — Sebastian zrobił tak, żeby całe umeblowanie baru, jak w lustrze, precyzyjnie odbijało się w suficie.

25. Do niedawna było inaczej — cały sufit naszpikowany był nożami — ostrzami w dół, rzucającymi dziwne odbłaski i cienie; las ostrzy dawał niepowtarzalną akustykę i wywoływał uczucie przyjemnego niepokoju. Noże Sebastian zdjął po tym, jak kilku Bojków, którzy kradli konie na zakarpackich połoninach i przeprowadzali je do Galicji, upiło się; pokłócili się, złapali jednego z kolegów za ręce i nogi, rozhuścili i podrzucili pod sufit.

26. Niewidomy oparł się rękami o bufet i zamówił mocną herbatę z wanilią, spirytusem i kilkoma dowolnie wybranymi czerwonymi owocami. Dziecko rozglądało się po sali. Sebastian odmierzał spirytus, kiedy poczuł niepokój. Patrząc na ręce niewidomego i jakiś nieznaczny ruch dziecka, przypomniał sobie pewną zabawę z Anną.

27. Zaczęli w nią grać po tym, jak wymyślili nową strategię — więcej teatralności w ruchach (pozwalali sobie wtedy na więcej niż błazeńską mimikę).

Stał przy bufecie; ręce zaplatał za plecami i tak mocno ściągał łopatki, że z przodu widać było wyłącznie barki; Anna stawiała z tyłu tak, że nie była widoczna, i wystawiała ręce przed Sebastiana; wyglądało to tak, jakby dorosły człowiek miał małe, dziecięce rączki — z takim powodzeniem synchronizowali ruchy i gesty Anny z mimiką i intonacją Sebastiana. Gra nazywała się „dwóch barmanów, dwie ręce”. Właśnie to skojarzenie — dwóch, ale dwie ręce — tak nastroszyło Sebastiana. Ręce mężczyzny nadal leżały na kontuarze.

28. Sebastian odwrócił się i zrobił kilka kroków w stronę kredensu, żeby wziąć wiśnie z półmiska. Po drodze zdążył nawet zamoczyć usta w herbacie (zawsze próbował gotowe drinki przed podaniem ich gościom); smakowała mu. Nagle zmroziło go uczucie, które pojawiało się zawsze, ilekroć ktoś niespodzianie, szybko i cicho, podbiegał od tyłu. Bardzo tego nie lubił i robił się wtedy najniebezpieczniejszy.

Puścił herbatę z rąk, odwrócił się, złapał pistolet (dziecko trzymało rękę pod swetrem) i dwukrotnie wystrzelił. Tak szybko, że małe nie spadło z ramion, a upadli razem, jak stali — tylko przewrócili kilka koszyków z papierówkami i suszonymi owocami, ozdobiającymi bar. Sebastian przeskoczył przez bufet i pochylił się nad dzieckiem, wydobywając jego ręce spod swetra — dopiero teraz zauważył, że plamy zostały zrobione wysokiej jakości farbami i tworzyły ciekawą abstrakcję. Małe rączka ścisnęła kolbę wielkiego pistoletu.

29. Od tamtej pory wszystko, co rastafarianie robili, poświęcali Sebastianowi. Pili tylko jego zdrowie, bawili się z Anną, uczyli ją długiego leżenia na dnie rzeki i patrzenia w górę przez wodę (ktoś nawet zrobił takie zdjęcie; kiedy Anna zmarła i Sebastian szukał jej fotografii, pożałował, że rastafarianie nie fotografowali Anny — bez wątpienia przysłałiby wszystko, co mieli), z każdego skręta dawali mu po kilka machów.

30. W dowód wdzięczności Nanaszka z Szegedu przekazała Sebastianowi cały zwierzyniec, zrobiony z sera. Konia, barana, jelenia, capa, wołu, tura i jedno-
rożca naturalnej wielkości przywieźli czerwonicy i błyszczący od potu, ale ciut ociężali, grubokościści mocarze, którzy służyli u Nanaszki za hajduków, oprychów, zbójów, zabijaków, i musieli codziennie próbować wszystkich serów i bryndz na miejskich bazarach.

Specjalnie dla Anny Nanaszka dorzuciła korale ze stwardniałego sera i kilka szkiców Franciszka, po których było znać, że próbował ogarnąć symbolikę serowych koników.

31. Kiedy narciarze zaczęli przepadać i przysłana komisja policyjna zainteresowała się Sebastianem (zbyt często zaginionych narciarzy po raz ostatni widziano akurat w *Co jes to jes*), rastafarianie sami wytropili bandę rozbójników, którzy zrzucaли narciarzy z urwiska, a ich drogie narty, buty, zegarki i aparaty opylali w pociągach turystycznych na stacjach po polskiej stronie.

32. Tego dnia rastafarianie zorganizowali imprezę w barze tylko dla Sebastiana, Anny i kilku przyjaciół, wynajmując bar na cały wieczór.

Jeden z nich pełnił obowiązki barmana, drugi przyrządził wspaniałą kolację, do każdej potrawy dodając inną odmianę haszyszu (namoczone w cukrze kwiaty konopi i solone nasiona były na deser — tak Sebastian nauczył się jeść nasiona, nieważne, czy konopi, czy inne; zbierał nasiona różnych roślin, nosił w kieszonkach huculskiego pasa i dożywiał się nimi w głodne dni). Dwaj inni dyrygowali wynajętą huculską kapelą, która musiała grać reggae (kiedyś cię przy takiej muzyce wezmę — pomyślała Anna o tacie).

Na koniec rastafarianie chcieli się zamienić z Sebastianem kolczykami. A skoro Sebastian nie miał kolczyków, to choćby z Anną. Trzeba było przekłuć Annie dwie dziurki strzałą od kuszy (rastafarianie nie uznawali broni palnej), a każdy kolczyk podzielić po jednym na dwoje.

33. Wszystkim się zapomniało, że strzała posmarowana była płynem przeciwdziałającym krzepnięciu krwi. Mażowiny krwawiły i krwawiły. Nie pomagały ani zioła, ani baje. Anna z upływu krwi straciła nawet przytomność (było tak — opowiadała potem — że nagle kolory zaczęły migać i zmieniać się, ale tylko kolory przedmiotów, nie ich kształty, a słabość była przyjemniejsza od jakiegokolwiek siły), zanim płyn przestał działać. Sebastian zainteresował się tym preparatem i rastafarianie dali mu całą butelkę.

34. Sebastian przekazał płyn do analizy Niezwykłym. Wykorzystali go zapewne w innym celu.

W Worochcie bywał pewien warszawski etnograf, który niemal rozwiązał zagadkę Niezwykłych i planował napisać artykuł o tym, jak niepiśmienni Huculi, pseudoczarodzieje i spryciarze rządzą Europą i światem za pomocą wątków. I akurat w tym czasie zmarł w najwspanialszej hotelowej restauracji Worochty, dokąd dawniej młody jeszcze Franciszek chadzał po całonocnym rysowaniu na kawę z likierem jajecznym (likier w rzeczywistości był spirytusowym kogłem-mogłem, ale samemu można było wybierać jajka: leżały w dużej kasecie, zebrane w kosówce — różnej wielkości i barw, w kropki, jednokolorowe, niemal przezroczyste — jaja wszystkich gatunków górskich ptaków), która niekiedy kończyła się późną kolacją z zupą grzybową, zapiekaną kukurydzą z pastą z pstrągów, bobem w sosie tarninowym, mrożonym filetem z padalca z przecierem z brusznic oraz kałganówki, dwóch, trzech kwart kałganówki.

35. Etnograf jadł obiad w towarzystwie naczelnika dworca, księdza-łacinnika, dyrektora tartaku i sanatoryjnego lekarza. Nagle zaczął się pocić. Bardzo szybko zamiast potu na skórze pokazały się krople krwi. Krew zalała mu oczy. Przetarł czoło ręką i tylko rozmazał idealne czerwone cętki. Krew sączyła się bez przerwy. Na nienagannie białym ubraniu wystąpiły czerwone plamy, które szybko się powiększały, zbliżały jedna do drugiej i zlewały w jednolitą mok-

ra czerwień. Nikt nie wiedział, jak temu zaradzić. Na ciele etnograf nie miał ani jednej rany, a krew ciekła wszystkimi porami.

36. Kiedy impreza z rastafarianami miała się ku końcowi, Sebastian pomyślał o całej nieskończoności cudownych drobiazgów, rzeczy, muzyki, sposobów, specjałów, win i filmów, które — masz tego pełną świadomość — w twoim życiu, o granicach wytyczonych przez chłód i upał, nigdy nie staną się czymś zwyczajnym.

37. Rastafarianie sprezentowali im dorodny okaz konopi indyjskich w kamiennym garnku i długo opowiadali o tym, jak radośnie żyłoby się Annie, gdyby ta roślina dała początek małej plantacji na pustych, maksymalnie nasłonecznionych stokach i połoninach. Bo wszystkie rośliny sadi się przede wszystkim dla samej radości sadzenia.

Kolejnego dnia Sebastian przypomniał sobie, że powinien zapytać rastafarianów, jak się taką konopię pielęgnuje, ale okazało się, że ci właśnie ostatecznie opuścili Jałowiec.

38. Niewidomy zabójca przydał się ponownie w 1938 roku.

Sebastian nie wiedział, jak przenieść na Ukrainę Zakarpacką dwa pistolety. Długo myślał, aż pomyślał o dziecku niewidomego. Wziął czteroletnią Annę (już nie tę, co wtedy była w barze) na barana, pistolety

ukrył w jej ubraniu i poszedł wzdłuż posterunków. Bał się tylko, żeby mała — w napadzie dziecięcej chęci postrzelania sobie do wszystkiego — nie wyciągnęła broni z ukrycia.

39. Sebastian straszliwie wierzył w zwycięstwo Ukrainy Zakarpackiej, bo wątek wydał mu się nadzwyczaj udany.

Zależało mu na tym, by ukraińska sprawa zaczęła się akurat od Europy Środkowej. Choć wiadomo, że przedstawiciel wywiadu polowego sztabu Siczy Zakarpackiej, który jeździł wtedy w autobusie-barze po Zakarpaciu, stuprocentowy nacjonalista, przekonywał dowodzącego Kłympusza o swoim podejrzeniu, że Sebastian kieruje się raczej ideą krajobrazu niż nacji.

Może i tak, bo Sebastianowi trochę opadły emocje, kiedy zapoznał się z rządowymi planami polityki leśnej i zobaczył, że obywatele autonomię wykorzystują wyłącznie do niszczenia lasów, wody i kamieni.

Zresztą, kwestia lasów i drewna zawsze była w tych stronach decydująca.

40. Bez względu na pewne rozczarowanie (mimo wszystko jego zasadniczą cechą była umiejętność obserwowania — widzieć wszystko i wiedzieć, co widzisz — prowadząca nie do obojętności, lecz do pogodzenia się z tym, co się dzieje) Sebastian śpieszył się z zakończeniem wyznaczania snajperskich stanowisk w celu przetworzenia gór w ogromną fortecę.

41. Na jednym z takich stanowisk — nieprawdopodobnej metalowej konstrukcji, przypominającej wieżę Eiffla z drewnianymi dziurawymi podestami u góry, połamanymi schodami i wąskimi lukami między poziomami — Sebastian znalazł butelkę śliwownicy, którą od razu wypił. Dopiero wtedy dostrzegł ledwie widoczne ślady, zostawione przez polsko-węgierską grupę dywersyjną, jakich wtedy pełno było na Ukrainie Zakarpackiej. Samogon okazał się zatruty (świadomość Sebastiana nie była gotowa na taki podstęp).

Robiło mu się coraz gorzej. To znaczy, Sebastianowi było dobrze, lubił gorączkę, ale siły jego soków gdzieś znikły, płuca ledwie nadażały nabierać i wypuszczać powietrze, które nic nie dawało. Ręce zrobiły się jak oparzone i bolałyby straszliwie, gdyby nie gorączka. Trzeba było natychmiast wymienić wszystkie płyny w organizmie.

42. Poszedł wyżej w góry — nie chciał umierać przy dziecku. I nie chciał do szpitala. Dawno już postanowił, że gdyby coś się z nim stało, to nie wezwie lekarza i nie będzie bezsilnie leżał w domu, a jak zwierzę, które ukrywa własną śmierć, ucieknie w góry. Góry albo go uzdrowią, albo w ciszy pochłoną.

43. W szpitalu już kiedyś był. Dawno temu, zimą, właśnie zaczęli się kochać z drugą Anną, jeszcze w Jałowcu.

Zaraził się dziwną chorobą, dojadając morelę po gościu, cudzoziemskim oficerze kawalerii — nadzwyczaj głupi zbieg okoliczności.

Zamknięto go w kwarantannie, żeby nie rozsiewał choroby, i zawieziono do zamkniętego górskiego szpitala w żupach solnych. Zbyt wielkie podziemne białe sale bez drzwi łączyły się jedna z drugą krótkimi i trochę niższymi, choć tak samo szerokimi korytarzami. W każdej sali bezpośrednio na zwałach soli leżeli chorzy, obłożeni nieznanymi liśćmi. Leczenie polegało na regularnym nacieraniu gęstą ropą. Jęki bólu łączyły się (zdawało się, że głosów jest więcej niż w rzeczywistości) i wędrowały nie wiadomo gdzie kończącym się podziemiem.

Szpital ten był jedną z innowacji czechosłowackiego ministerstwa zdrowia, wprowadzonych w celu wykorzenienia karpackiego syfilisu i zniszczenia innych epidemii. Chorzy trzymani byli w więziennej izolacji, niekiedy do końca życia.

44. Sebastian nie potrafił już sobie wyobrazić, jak wygląda zima na powierzchni, a solny stalaktyt obok niego niemal stykał się ze stalagmitem, kiedy któregoś dnia w sali zjawiła się Anna.

Mogło to znaczyć tylko jedno — ona też trafiła do aresztu — znaczyło jednak co innego. Wierna Anna, nie będąc w stanie dostać się do taty (zazwyczaj żadne zakazy jej nie dotyczyły; strażnicy sami wyjaśniali, jak powinna dalej iść zakazanym szlakiem), wymyśliła, że pójdzie do szpitala na sanitariuszkę — chętnych do pracy zawsze brakowało.

Codziennie przychodziła nacierać go ropą (jesteś dla mnie najlepszym balsamem, mówił Sebastian; to ty jesteś moim i wiesz dlaczego), a nocami się kochali. (Chcę mieć te same wirusy, co ty — zapewniała Anna. — Zresztą, to nawet dobrze, bo drugi raz nie zachorujemy). Chwała Bogu, wcale nie zachorowała. Wkrótce potem Sebastian został zwolniony, i razem wrócili do domu.

Zima jeszcze się nie skończyła.

Sebastian nie miał odwagi powiedzieć jej, że na tę chorobę nie można się uodpornić. Choć najwyraźniej zagraża tylko tym, co byli w Afryce.

45. W Afryce młody Sebastian omal nie zmarł od tej właśnie zarazy.

Wtedy było jeszcze gorzej — w afrykańskim klimacie na naroślach wyrastały egzotyczne grzyby. Nikt nie wiedział, czy pochodzą z naniesionych zarodników, czy to wytwór zakażonego ciała, ale grzyby tak bolały, że Sebastian wołał odcinać je razem z kawałkami skóry.

Bez przerwy przyglądał im się przez lunetę karabinu. Widział dokładnie to samo, co było na najdroższym znaczku pocztowym, wypuszczonym w tamtym kraju — niezliczona ilość białych kubicznych budynków, kilka wrzecionowatych iglic, ogrody i gęste sady na miejskich wzgórzach, czerwona glina uliczki, kawowarzy na progu niebieskiej restauracji. Od filatelisty różniła go chyba tylko obecność mrówek — w oczach i na obu soczewkach lunety.

Leżała z nim jego ulubiona Afrykanka. Od czasu do czasu Sebastian wycierał jej spocone ciało mokrą szmatą, a ona sześć razy dziennie zakrapiała każdą ranę sokiem z aloesu.

Od tamtej pory jedyną erotyczną fantazją Sebastiana była miłość zwilżona aloesem. W Jałowcu jednak nie było ani jednej jego gałązki.

46. Z kolei Anny w ogóle nie chorowały.

Raz tylko, w Mokrej, Anna złapała chorobę wietrzną, choć nie wiadomo, czy można to nazwać chorobą.

Anna wspięła się na górę w niewłaściwym miejscu i nie zdążyła uchylić się przed niespodziewanym podmuchem złego wiatru. Wiatr wpadł jej do głowy i wywiał stamtąd wszystkie zapachy.

Sebastian znał tylko jeden lek na taką przypadłość. Wyprowadził Annę wąską ścieżką między dwie góry i czekał, aż przeciąg wydmucha jej wiatr z głowy. Tak też się stało, ale przeciąg zatrzymał się w Annie i rozmiękczył jej głowę — rękami można było zmieniać kształt czaszki. Zrób mi taką, jaką sam masz — powiedziała Anna — bardzo lubię twoją piękną głowę.

Sebastian postanowił, że nie warto więcej wypędząć wiatru wiatrem — tak można w nieskończoność zmieniać wiatry (można zresztą poprzestać na tym, który by najbardziej pasował). Ale wiatr można było jeszcze wymrozić.

Na święto Jordanu kapali się razem w Mokrzance, trzymając głowy jak najdłużej pod wodą. Sowiecki milicjant aresztował Sebastiana, a naga Anna pobięła

przez całą wieś do domu. Milicjant chciał zatrzymać Sebastiana choćby na kilka dni — za odprawianie barbarzyńskich obrzędów podczas świąt religijnych, ale potem dał mu buteleczkę arniki na spirytusie i pogonił do nacierania córki. Ja też mam dzieci, powiedział milicjant.

47. Zatruty się samogonem dywersantów, Sebastian nie poszedł do Anny, a popęzł w góry.

Znał źródło, w którym mógł odnowić wszystkie płyny. Często się zatrzymywał, żeby poprawić bandaż na oparzonych rękach, zsuwające się podczas pełzania. Coraz częściej tracił na kilka minut przytomność. Wtedy zwidywało mu się najgorsze — jakby był zatknięty w wąską szczelinę — i nie mógł doczołgać się do Anny, balansującej na przerzuconej nad przepaścią drabinie.

Do źródła dopęzł już w nocy. Napił się, zmoczył ręce i zaczął drzemać. Po jakimś czasie ocknął się i ponownie wsadził ręce do kwaśnego źródła. Nie poczuł wody. Za to ktoś przeraźliwie krzyknął. Okazało się, że Sebastian mył nie siebie, a oparzone ręce jakiejś kobiety, która też przypełzła do kryniczki i spała obok w ciemnościach. (Coś podobnego, choć nie do końca, już kiedyś mu się przydarzyło. Nocując z Anną po luzdach, uciekali się do sekretnej metody — pod kołdrą wchodził w Annę palcem. Raz spali w takiej ciasnocie, że obudziwszy się w środku nocy, Sebastian wyjął palec nie z Anny, a z Hucułki leżącej po lewej stronie. A Anna spała mocno, obrócona do niego plecami

z prawej — Sebastian nie zauważył, jak zasnęli, Anna się odwróciła, a uwolniony palec niechcący umieścił gdzie indziej).

48. Do marca 1939 roku ręce nie do końca się za-goiły, ale Sebastian co drugi dzień wysyłał telegramy do sztabu Kłympusza, nalegając na rozmieszczanie snajperów w przygotowanej twierdzy.

Nikt go nie posłuchał i wszystko przepadło (podobnie jak we Lwowie z powodu balkonów).

Sicz Karpacka stanęła do otwartej walki.

To był pierwszy niedoceniony akt drugiej wojny światowej.

Ale cztery tysiące przeciw czterdziestu. Cisa spłynęła krwią.

(Garstka siczowców wycofała się do Rumunii, wkrótce jednak Rumuni wszystkich przekazali Węgom, a ci Galicjan — Polakom).

Sebastian zrozumiał, że tym razem ktoś wymyślił bardziej udany wątek niż on sam.

49. Sebastian bardzo wierzył w siłę swojej obecności. Wiedział, że nic złego się nie stanie tam, gdzie jest, bo jemu wszędzie jest dobrze.

Trzeba naprawdę lubić miejsca, żeby one lubiły ciebie.

Dlatego po klęsce na Krasnym Polu wziął karabin i sam położył się w wygodnym miejscu pod Trebuszą. Jeden wyjątkowy strzelec może zmienić kilka wątków, zwłaszcza jeśli jest ostatni.

50. Klęczał w maleńkim szańcu pod Trebuszą i czekał na wrogie wojska (dobrze mówił Franciszek — najbardziej radykalne jest czekanie).

Tak bywa, myślał Sebastian. Chciałem sprawić się wyjątkowo. Franc też próbował, i co z tego wyszło? — przestał robić filmy (bo ciągle zabierał się do narysowania kina kin) i dał sobie głowę uciąć. Franc naprawdę mógł być wyjątkowy. Ale jeśli jesteś naprawdę wyjątkowy we wszystkim, a w czymś jednym nie — to już nie jesteś najbardziej wyjątkowy. I w ogóle, na każdego najbardziej wyjątkowego znajdzie się ktoś jeszcze bardziej wyjątkowy. Tak było z Franciszkiem, tak było z Nanaszką z Szegedu, tak było z Kłympuszem. Tak może być i z nim.

51. Kiedy popadła w ruinę niemal stuletnia posiadłość Nanaszki, do baru często włamywali się zbóje nowego gazdy, obwieszeni gwintówkami i prochownicami, buszujący po górach i wprowadzający swoje zwyczaje.

To były czasy, kiedy Sebastiana każdej nocy zdziwiało jakieś nadzwyczajne szaleństwo, choć poprzedniej nocy był pewien, że teraz już go nic nie zdziwi.

Niekiedy zbóje robili mu różne przykrości, ale co miał począć, skoro zdecydował się być szynkarzem.

Wtedy przywoływał w pamięci własne chłopięce wyczyny.

52. Nie wątpił, że w chłopięctwie ludzie dokonują swoich najlepszych rzeczy. Szkoda, że nikt o nich potem nie wie, szkoda, że chłopięce bohaterskie czyny się nie liczą.

Sebastian na przykład najlepiej skakał z dachów w korony drzew — nie patrząc, leciał prosto w zielone. Rozcinał sobą zasłone liści i już w środku kulistych gąszczy łapał napotkaną gałąź i od razu przemieszczał się na inną.

53. W dzieciństwie trafiały się co prawda przygody podobne do zbójceckich.

Setki razy powtarzał sobie wtedy wymyślony ciąg pozytywnych zdarzeń, póki sam nie uwierzył, że tylko tak mogła wyglądać prawda.

Takie historie układał raz i na zawsze. Pewnie to też jakaś odmiana baju.

54. Ukłękawszy w szańcu pod Trybuszą, Sebastian wyobraził sobie, jak łąpsko byłoby z taką maleńką Karpatią, której — korzystając z ogólnego chaosu — mógłby bronić sam.

Wymyślił przepiękny, ekologicznie czysty kraj wokół Jałowca, w którym wszyscy znalazłby wszystkie języki, najwyższą instancją byłoby biuro scenariuszy, gdzie każdy mógłby proponować coś naprawdę ciekawego, a rząd kierowałby się tymi wątkami.

Wszystko psuje „by”.

55. W marcu szybko się ściemnia.

Zamyślony Sebastian ledwie zauważył grupę jeźdźców w dziwacznych mundurach, uzbrojonych w długie karabiny. Jechali prosto do Trybuszy.

Zdjął rękawice, rozłożył w zasięgu ręki rząddek naboji i przyłożył oko do lunety. Jeźdźcy rozmawiali (sądząc z ruchu ust — po węgiersku), zaglądając do mapy (gotycka czcionka wyglądała tak, jakby pierwszej światowej w ogóle nie było). Na mundurach dało się zauważyć odznaki straży leśnej.

Sebastian wziął karabin między nogi, zawinął w szmaty, włożył naboje do jednej kieszeni, rękawice do drugiej i na kolanach ruszył szańcem do dużej sterty kamieni. A wtedy pobiegł przez las do drogi i biegł cztery godziny bez przerwy, póki nie dotarł do zamaskowanego w wąwozie pancernika Bedy.

56. Pancernik niemal wisił nad przepaścią, przywiązany liną do grubego buka. Górny właz był otwarty i ciepłe powietrze, wychodzące ze środka, drżało nad otworem.

W wozie naprawdę było ciepło. Stary Beda grzał wino i opowiadał małej Annie o Franciszku z Asyżu i Franciszku z Pietrosa. Anna upiększała swoją obecność w pancerniku dużymi rysunkami na białych ścianach (coś podobnego kiedyś Sebastian rysował jej mamie na dłoni) i nieustannym nadużywaniem czasownika „jest”.

Nie marnując czasu, Sebastian i Beda wypili wino i pojechali aż do Kwasów, gdzie stał autobus-bar.

W swojej wyobrażonej wojnie Sebastian ogłosił kapitulację.

57. Autobusowy bar najpierw usłyszeli. I dopiero wtedy dostrzegli dość wysoko na niebie umówiony znak — sześć jaskółek brzegówek, cztery wilgi i jednego zimorodka. Wszystkie ptaki latały w przód i w tył, jeden za drugim, nie wyfruwając jednak poza granice półkuli, jak świetlne plamki reflektorów na chmurach nad nocnym miastem. Trzymały je mocne linki, które schodziły się za wysokim paśnikiem, w którym po ziemi prawie nie było siana.

Sześć cztery jeden — powiedział Sebastian.

Beda zajrzał do zeszytu i przeczytał na głos — sześć cztery jeden. W świecie wszystko jest tak, jak jest, i dzieje się, jak się dzieje; nie ma w nim żadnej wartości — a gdyby była, to nie miałaby wartości. Jeśli jest jakaś wartość, która ma wartość, to musi leżeć poza wszystkim, co się dzieje i zachodzi. Albowiem wszystko, co dzieje się i zachodzi, jest przypadkowe.

Znaczyło to, że wszystko jest w porządku i można bezpiecznie wracać do autobusu, który stał w kryjówce za niemal pustym paśnikiem, właśnie tam, gdzie schodziły się linki, do których przywiązane były ptaki. A linki umocowane były do klamki przednich drzwi autobusu.

58. Sygnał bezpieczeństwa wysyłał ornitolog, który niegdyś obrączkował ptaki w Czarnohorze, na

Hryniawie i na huculskim końcu świata — w górach Cibo — i znał się z Franciszkiem.

Ornitologia powoli zmieniała się w ornitofilię — nauczył się miłości z wszystkimi ptakami, składającymi choć trochę większe jaja. Kochali się na najwyższych szczytach, gdzie wokół krąży tylko niebo, a cała ziemia redukuje się do nieruchomego oparcia dla stóp. Samiczki oddawały mu się w milczeniu, zarzucając głowy w tył i szeroko rozdziawiając dzioby; ledwo się powstrzymywały, by nie usłyszały ich samce. A te nie nawidziły ornitologa kochającego ptaki — ornitolog zawsze chodził w otoczeniu nerwowego stadka nie-ludzko krzyczących samczyków. Kochankowie moich kochanek — ironicznie nazywał ich ornitolog.

Wkrótce przeszła mu ornitofilia, wyparta przez filozofię. Ścisłej — przez traktat Wittgensteina. Były ornitolog znał go na pamięć, nieustannie rozmyślając nad tym, jaka liczba będzie pasowała do danej sytuacji.

59. Dlatego kiedy ornitolog najął się do pilnowania baru, podczas gdy Sebastian będzie walczył z okupantami, uprzedził, że sygnały, na które powinno się zwracać uwagę w drodze powrotnej, będzie nadawać ptakami i Wittgensteinem. Do rozszyfrowywania dał staremu Bedzie zeszyt z przepisany ręcznie traktatem logiczno-filozoficznym. Na przykład zdanie: „Jedno może być faktem lub nie być, a wszystko inne pozostać takie samo”, przekazane zostałoby ptakiem jednego gatunku, dwoma innego i jednym jeszcze innego (jeden dwa jeden). Co to zdanie mogło syg-

nalizować, Sebastian musiał sam zdecydować. Przy najmniej to, że Sebastian rozumiał „sześć cztery jeden” jako „wszystko w porządku”, wyglądało poprawnie.

60. Ornitofil był chyba najczęstszym gościem w barze Sebastiana. Ale w ciągu pięciu lat wojny przez autobus przewinęły się tysiące najróżniejszych klientów. Wśród nich kilkuset stałych.

Bar funkcjonował w bardzo prosty sposób. Sebastian jechał autobusem, póki ktoś go nie zatrzymał. Chętny wsiadał i jechali dalej. Jeśli ten nie chciał nigdzie jechać, Sebastian zjeżdżał z drogi i bar przez jakiś czas pracował w jednym miejscu.

Niektórzy klienci mogli tygodniami jeździć w barze bez żadnego celu.

Niektórzy zapędzali się za daleko i wtedy Sebastian musiał wracać.

Czasem bar na długo zatrzymywał się w jakiejś wsi.

Bywało i tak, że niespodziewanie trzeba było się zbierać i pędzić w którąś stronę.

Można się było umówić na przyjazd baru w określonym terminie.

I tak dalej, i tym podobne.

61. Sebastian miał czas i na prowadzenie autobusu, i obsługiwanie klientów, i wychowywanie Anny. Przed każdym miasteczkiem zatrzymywał się i szedł sam, żeby — starym snajperskim zwyczajem — najpierw wy badać miasto. Musiał też wysłuchiwać przeróżnych

historii, żeby coś gdzieś komuś od kogoś przekazać. Ta ustna poczta tak bardzo męczyła Sebastiana, że nawet nie mógł sobie przypomnieć, co, gdzie, kiedy i z kim się stało. Jeździł żywym eposem, nie dotykając go.

62. Jedyną rzeczą, o której celowo rozmawiał z klientami, była specyficzna wzajemna spowiedź, pozbawiona wyszukanej stylistyki, ale nadzwyczaj bogata w wątki — co kto lubi i czego nie lubi, co się komu podoba i nie podoba, smakuje czy nie.

Dla Sebastiana takie rozmowy były podstawowym katechizmem, koniecznym pierwszym poziomem każdego współistnienia.

Bo spotykając gościa po raz drugi, dobrze wiedział, co ten ma w zwyczaju, a co można zaproponować do spróbowania.

63. Bar był najbardziej lubiany w najodleglejszych wsiach, gdzie nie żyło zbyt wielu ludzi i niezbyt wiele się działo.

Ich mieszkańcy mieli ledwie po kilka własnych historii. Każdą z nich w nieskończoność opowiadali każdemu, kogo znali, i na odwrót. W ten sposób krążyło kilka niezmiennych wątków, które trudno było podzielić na przeżyte i zasłyszane.

Przyjazd autobusu z nieznanymi pasażerami dawał możliwość przyłączenia się do czegoś nowego. I do opowiedzenia na nowo starych opowieści, które wyrwane z zaczarowanego kręgu stałych słuchaczy, znowu nabierały wagi.

64. Czasem zdarzały się ciekawe rzeczy, kiedy schodzili się znajomi, a ich znajomi, rozmawiali o znajomych i opowiadali historie o znajomych znajomych, zasłyszane od znajomych.

Nieraz bywało, że ktoś od nieznanego wysłuchiwał niesamowitej historii, która jego samego dotyczyła.

Albo: mówiło się o kimś przy jednym stole, nie podejrzewając, że ten ktoś siedzi przy sąsiednim.

65. Był taki okres, że w kółko spotykało to Seweryna. Wszyscy opowiadali o tym, jak zaprowadził zagranicznych turystów w góry na dziwaczne grzyby, jak turyści postradali zmysły, a Seweryn oślepnął, ale udało mu się sprowadzić turystów z powrotem. Ta historia powtarzana była wielokroć na różne sposoby.

Nikt nie przypuszczał, że Seweryn mieszkał wtedy u Sebastiana i cały czas przebywał w autobusie. Dobrze, że nie słyszał tych wszystkich dziwów na swój temat, bo do uszu i nosa wpychał nasączoną ginem watę, żeby ostatecznie rozmoczyć guza mózgu, którego nie pozwolił wyciąć młodszemu Młynarskiemu.

Mnóstwo przeróżnych legend o sobie musiał wysłuchiwać ornitolog, którego w barze uważano za wędrownego filozofa — opowiadając i opowiadając traktat, z czasem przestał wspominać o Wittgensteinie.

66. Dziwaczniejsza od ornitologa była chyba tylko córka papieża. Nikt nie wiedział: prawda to czy nie —

ale z pewnością tak utrzymywała. Nikt się zresztą nie zamierzał z nią sprzeczać, wszyscy radzi byli zobaczyć coś niemożliwego.

Córka papieża pisała pijane sztuki teatralne. Przy najmniej tak nazywała swoją pisarską metodę.

Zbrzydło jej godzenie się z tym, że większość najciekawszych rzeczy odbywa się wtedy, kiedy jest upita — najważniejsze opowieści, najdowcipniejsze żarty, najbardziej aforystyczne myśli, najoryginalniejsze idee, najbardziej paradoksalne decyzje dotyczące najboleśniejszych problemów. A nieszczęście polega na tym — czuła to — że po chwili nic z tego nie można było sobie przypomnieć. Dlatego córka papieża zaczęła upijać się z ołówkiem w ręku i zapisywała każde powiedziane i usłyszane słowo. Dynamika sztuk zależała od ilości wypitego alkoholu. Niekiedy pod sam koniec aktorzy mówili absolutnie niezrozumiałe rzeczy. Ba, więcej, córka papieża wprowadziła jeszcze jeden eksperyment — didaskalia dokładnie określały ilość i gatunek alkoholu, i autorka wymagała, by aktorzy na scenie pili to samo w czasie przedstawienia. Nic dziwnego, że zdarzały się interesujące improwizacje, prowadzące akcję niespodziewanie daleko.

Autobus Sebastiana na kilka lat stał się jej twórczym laboratorium, gabinetem, pracownią i mieszkaniem.

67. W 1942 roku córka papieża postanowiła napisać sztukę o cygańskich dzieciach, które uciekły z obozu, i o szukających ich węgierskich żandarmach. Żandar-

mi dochodzą do wniosku, że dzieci mogą zostać wysłędzone jedynie przez dziecko, które potrafi sobie wyobrazić, jak dzieci myślą i się zachowują, i wzywają na pomoc dziewczynkę-detektywa. Dziewczynka znajduje Cyganiątka, choć nie bez trudu — chodzi o różnice kulturowe i cywilizacyjne (w rzeczywistości dzieci spotkały starego Bedę, który woził je w pancerniku do końca wojny).

Córka papieża potrzebowała ośmioletniej Anny, żeby nauczyć się dziecięcego języka. Podstępnie napoiła ją słodkim młodym winem.

Kiedy Anna odespała i wytrzeźwiała, to tak opowiedziała tacie o szczepieniu jabłoni, grusz, brzoskwiń i czereśni, że Sebastian uwierzył — była wewnątrz drzew i jak sok płynęła w ich żyłach.

68. Od tamtej pory Niezwykli przesyłali Sebastianowi papierosy, których nie można było palić.

Na wewnętrznej stronie bibułki rysowali schemat, według którego Anna miała znaleźć to czy inne drzewo i zaszcześcić je jakimś szczepem.

Jechali w to miejsce barem.

69. W ogóle bardzo przyjemnie jeździło się autobusem. Dobrze się w nim piło i rozmawiało, dużo było z niego widać, mijało się nim wszelkie niebezpieczeństwa — albo się trochę wcześniej przyjechało, albo szczęśliwie spóźniło.

Przeszkadzało tylko to, że często brakowało jedzenia, że w zimie stało się w zamieci i piekły dłonie od

mycia naczyń w lodowatej wodzie, i że sikało się prosto na śnieg za drzwiami; że w lecie bywało tak gorąco, aż trzeba było ciągle moczyć ubranie w beczce z deszczówką, a nocami, kiedy robiło się trochę chłodniej, zdawało się, że na zewnątrz bez przerwy pada deszcz — do okien dobijały się chmary owadów — i to, że trzeba było za darmo poić policję i oficerów.

70. Jesienią 1944 roku autobus trzeba było porzucić w Krasnyszorze. Tego dnia Sebastian z Anną dojechali okazją do Königsfeld — wzięli ich na ramę wieśniacy, którzy chodzili do Tereswy po porzucone przez Niemców rowery.

71. Nieuzbrojony Sebastian z łatwością mógł pobić tych trzech pod warsztatem szewca w Königsfeld. Nawet bez kija (kij łatwo było znaleźć, bo nasiąknięte wodą drzewa zrobiły się miękkie — pora, kiedy nad wszystkim zwycięża woda i zieleń). Sebastian z wojska wiedział, jak można okaleczyć gołymi rękami. A w Afryce brał w dodatku udział w dość widowiskowych zawodach — w walkach z uzbrojonymi w nóż, szydło, brzytwę czy kastet żołnierzami (dobrze, że miałem Afrykę — pomyślał Sebastian — zawsze sobie można wytłumaczyć pochodzenie wielu własnych osobliwości).

72. Zbliżał się do tamtej trójki i dokładnie widział roztrzaskaną krótkim uderzeniem wyprostowanych palców grdykę pierwszego, zmiażdżone od lewego

bocznego uderzenia otwartą dłońią żyły na skroni drugiego, wybite prawą piętą kolano, a prawym łokciem szczękę trzeciego.

Nie miał jednak prawa się bić.

73. Bić znaczyło zabić — znaczyło uciekać i całe życie się ukrywać. A w domu czekała Anna.

Sebastian podszedł pierwszy, pamiętając, że przede wszystkim musi chronić życie, i zdążył się przywitać, zanim ci trzej rzucili się na niego (jeszcze bardziej nadstawiając krtanie, kości policzkowe, kolana, szczęki i sploty słoneczne), związali go, wrzucili na pakę studebakera i pojechali tam, skąd Sebastian dopiero przyszedł.

74. Co mogą z niego wyciągnąć na przesłuchaniu?

Na przesłuchaniu wypytują o tajemnice, nie o winę.

Wina (członek Strzelców Siczowych, sierżant Legii Cudzoziemskiej, udział w wojnach kolonialnych, zięć znanego dekadenta, grekokatolik, Ukrainiec, kontakty z nacjonalistami, syjonistami, antysemitami, białymi i czarnymi rasistami, anarchistami, trockistami, monarchistami, zagranicznymi dziennikarzami, płastrami, mnichami, oficerami, członkami rządu, parlamentarzystami, dyplomatami, ornitofilami, narkomanami, rodziną rzymskiej wierchuszki, najemnymi zabójcami; zabicie trzech najemnych morderców [jeden niepełnoletni], snajper, nielegalne posiadanie broni, zakazane książki, haszysz, druga żona — córka, pedofilia, drobne przedsiębiorstwo,

własność prywatna, nielegalne przekraczanie granic, znachorstwo, autochton, pobyt na ziemiach okupowanych, uczestnik zająć na Zakarpaciu w latach 1938–1939, szpiegostwo, sabotaż, naruszenie przepisów paszportowych, sprzyjanie nacjonalistycznemu podziemi, przebywanie w strefie nadgranicznej, nielegalna praktyka psychoterapeutyczna, freudyzm, morganizm-weismanizm, nietzscheanizm, wittgensteinizacja, odstępstwo od norm socrealizmu w opowieści literackiej, krytykanctwo, pies na łańcuchu imperializmu, pacyfizm, pół-Łemko, opór stawiany przedstawicielom władzy, brak udziału w wyborach do Rady Najwyższej, unikanie obowiązkowego w całym Sojusie spisu ludności, bumelanctwo i pijaństwo, dochody nie zdobyte trudem pracy, ukrywanie przestępców, patrzy krzywo, uważnie słucha, dużo pamięta, za dużo mówi) ich nie interesowała, bo nie była tajemnicą.

Życ bez tajemnic, tak mówił Franciszek.

Tajemnic Sebastian nie zna.

Co zna?

Zna tysiące miejsc i słów.

Co pamięta?

Pamięta tysiące miejsc i słów.

O czym zapomina?

Zapomina o tysiącu miejsc i słów.

Co wspomina?

Wspomina tysiące miejsc i słów.

Co wymyśla?

Wymyśla tysiące miejsc i słów.

Co opowiada?

Opowiada tysiące miejsc i słów.

Czego się uczy?

Uczy się tysiąca miejsc i słów.

Co lubi?

Lubi tysiące miejsc i słów.

Co wybiera?

Wybiera tysiące miejsc i słów

Co odrzuca?

Odrzuca tysiące miejsc i słów.

Co potrafi?

Potrafi widzieć, znać, kochać, pamiętać, zapominać, wspominać, wymyślać, opowiadać, wybierać i odrzucać tysiące miejsc i słów.

Co robi?

Widzi, zna, kocha, pamięta, zapomina, wspomina, wymyśla, opowiada, wybiera i odrzuca tysiące miejsc i słów.

Czego chce?

Widzieć, znać, kochać, pamiętać, zapominać, wspominać, wymyślać, opowiadać, wybierać i odrzucać tysiące miejsc i słów.

Co może?

Widzieć, znać, kochać, pamiętać, zapominać, wspominać, wymyślać, opowiadać, wybierać i odrzucać tysiące miejsc i słów.

Co wobec tego jest tajemnicą?

Jak i dlaczego widzi, zna, kocha, pamięta, zapomina, wspomina, wymyśla, opowiada, wybiera i odrzuca tysiące miejsc i słów.

Jak i po co są tysiące miejsc i słów, które się widzi, zna, kocha, pamięta, zapomina, wspomina, wymyśla, opowiada, wybiera i odrzuca.

A to już nie jest jego tajemnicą.

Może spokojnie iść na przesłuchanie. Choć bólu nie unikniesz, jeśli nie znasz przynajmniej jednej tajemnicy; nie ma jednak potrzeby go znosić — sam jakoś minie.

75. Po drodze Sebastian zacisnął tętnice szyjne, żeby się trochę zdrzemnąć przed przesłuchaniem. Spać to wydłużać czas o połowę.

Ledwie go dobudzili na przesłuchanie.

76. Najpierw zaproponowali mu papierosy. Wziął trzy lub cztery z przydziałowej paczki cameli.

O papierosach na potem trzeba myśleć nawet wtedy, kiedy jakiś cudem zjawiają się teraz, papierosy — najlepszy dowód na to, że wszystko ma swój koniec (Sebastian znał jednego zaciekłego faszystę, który oddał się Amerykanom do niewoli, bo codziennie wydawali papierosy).

77. Wtedy przywitali się, przedstawili jako folklorysty, poprosili o przygotowanie się do długiej rozmowy i wezwali do szczerości.

Sebastian postanowił nawet słowem nie wspomnieć, że śpieszy się do Anny. To mogłoby obudzić w nich chęć do jak najdłuższego przetrzymywania go.

A co do szczerości, to znał jeden niezły sposób. W baję, podobnie jak w pieszczotach, wszystko zależy od rytmu. Jeśli weźmie się fałszywy rytm, to jak można mówić o szczerości. Poprawnie zbudowane zdania na nic się zdadzą. Zdecydował więc wypróbować taki schemat — sześć krótkich, jedno długie, jedno bardzo krótkie z dołu do góry, jedno bardzo długie z pełnym obrotem po spirali i dwa krótkie niepełne w prawo.

Sebastian tak się nastroił, że słyszał swój głos, zanim jeszcze zaczął mówić. I ten głos się mu spodobał.

Poza tym, jeszcze tak nie było, żeby nie potrafił kogoś przegadać.

78. Sebastian przypomniał sobie nagle opowieść jednego z rastafarianów o tym, że Nanaszka ma w Sze-gedzie małe prywatne więzienie, w którym trzyma przypadkowych ludzi po to, żeby opowiadali jej bajki.

79. Kiedy po kilku godzinach Sebastian został uwolniony i znowu przez Königsfeld śpieszył do Mok-rej do Anny, nie był w stanie pojąć, dlaczego wszystko poszło tak łatwo i bezboleśnie. Czy dlatego, że od razu powiedział folklorystom, gdzie szukać Dowbu-szowych skarbów (o cennych rzeczach lepiej powiedzieć przed torturami — uczył Annę), czy miał rację, i próby porozumienia się różnymi językami rzeczywi-ście są kulminacją życia. Choć nawet mogło być proś-ciej: albo ci ludzie naprawdę byli folklorystami, albo pomógł fałszywy rytm. Może i to, i to.

80. Dotarł do domu dopiero następnego dnia rano.

Anna bardzo długo nie spała i zasnęła przed samym jego przyjściem. Sebastian nawet nie zdjął jej butów, żeby się nie obudziła, siedział obok i czekał, póki tak pięknie spała.

Ser jednak zgliwiał; usmażył go z kminkiem, a Anna odgrzewała na ogniu z miękkich, bo mokrych gałęzi wczorajszą zupę — chleb, cebulę, kapustę zajęczą i suszone na drzewie wiśnie namoczyć w śliwownicy, gotować w wodzie ze śmietaną, dodać oleju, soli, papryki, rozlać na talerze, do każdego dodać po dużej łyżce wódki i jeść, póki bardzo gorące (oprócz koniecznych składników Anna wrzuciła do zupy cały usmażony ser).

Potem Sebastian mówił, że niczego dziwniejszego w życiu nie słyszał.

JEŚLI WEDŁUG MAPY (LEGENDA)

Napisany w Paryżu w 1976 roku błyskotliwy esej Anny Sebastiani o psychologii chrześcijańskiego męczeństwa, *Nieodpowiednia kolejność gości*, zawiera taki liryczny epigraf: *O tym, że to przyszli święci, dowiesz się po stu latach. Todiaska, 1951.*

Najprawdopodobniej jest to autobiograficzne zdanie i dotyczy spotkania Anny z przyszłymi męczennikami katakumb ukraińskiego kościoła grekokatolickiego na górze Todiaska. Sądząc z miejsca i daty, chodzi o podróż Anny i Sebastiana z Mokrej do Jałowca.

Jeśli rzeczywiście tak było, to najbardziej prawdopodobny szlak podróży wyglądał tak: Nemecka Mokra — Ruska Mokra — Königsfeld — Swidowa — Berlioska — Pidpuła — Todiaska — Bliźnica (pięć ostatnich to szczyty na Świdowcu) — Kwasy — Menczuł — Szesul — Jałowiec.

SIEDEM

1. Było tak zimno, że nie mogli zdjąć nawet kożuchów.

2. Siedząc na kamiennej podłodze pustego pokoju, kochali się tak bezpośrednio, że Annie wydało się, że rozpadła się na masę cząsteczek, z których każda z osobna kocha się z Sebastianem.

3. A on czuł, że nauczył się fruwać, choć rozumiał, że to z powodu Jałowca.

4. Chłód nie mógł przecisnąć się przez rozpięte szczeliny ubrań, bo naprzeciw wyrywało się gorąco o osobliwym posmaku halucynacji.

5. Najważniejsze — nie śpieszyć się z wychodzeniem, skoro nic nie zmusza do pośpiechu i można porozmawiać.

6. Jeśli tak — to jesteś taka duża, a naprawdę taka mała.

7. Jest ciebie tak za dużo i tak za mało.

8. Tak jest dobrze światu i świat też jest dobry.

9. Choć w tobie świat jest lepszy niż poza tobą.

10. Swoją ciężarną brzuch najbardziej chcę dotykać razem z tobą.

11. Jeśli kiedyś będziesz mieć innego mężczyznę, to zginie dlatego, że będzie miał zbyt piękną kobietę.

12. Nie mów do mnie z taką intonacją — tak mówi się, kiedy wszystko jest zamknięte, kiedy nie można już być do końca.

13. Jestem piękna, kiedy mi o tym mówisz.

14. Anna się zdrzemnęła, siedząc na Sebastianie i opierając się o jego ramię czołem, więc nie mógł zmienić pozycji, choć bardzo chciało mu się rozciągnąć kości i położyć się.

15. Podobnie jak z poprzednimi Annami, z tą zawsze było tak, jak za pierwszym razem.

16. Potem po Annę przyszedł stary Beda. Niezwykłym nic się nie stało. Wątki nie mogą się kończyć. Zdecydowali pojechać na kraj świata i czekają na nią w pancerniku. Anna zrobiła się straszliwie smutna. Sebastian powiedział, że nikomu jej nie odda. Wypiła dużo ginu i zaczęła płakać. Beda przyszedł ponownie. Sebastian go przepędził i rzucił granat przez okno. Anna się upiła i zaczęła na głos rozmyślać o ich rodzinie. Sebastian po raz pierwszy zrozumiał, że Anna odbiera wszystko całkiem inaczej niż on. Płakała i próbowała pocałować go w rękę. Sebastian nie pozwalał, przestała płakać i spokojnie poprosiła, by pozwolił pocałować każdą rękę po razie. Sebastian pozwolił, i zrobiła, co chciała. Drugą całowała bardzo długo. Musiał zabrać rękę, żeby znowu rzucić granat. Anna powiedziała, że robi dla niej za dużo. I podeszła do drzwi. Sebastian nie mógł tego zrozumieć. Pamiętasz? Rozmawialiśmy. Obróciła się, ale nie zatrzymała — wyszła tyłem. Sebastian zrobił jakiś taki gest, że Anna, już przy pancerniku, nie wytrzymała i spróbowała go sama dla siebie powtórzyć, jakby stała się biografem Sebastiana. Ciekawe, co w tej chwili robi tato? Szukanie ciekawości — najbardziej ludzka cecha, tato tak mówił. Tak mówił Sebastian, że mówił Franc.

17. Sebastian nie mógł ani chodzić, ani stać, ani siedzieć, ani leżeć.

18. W głębi płuc było pusto.

19. Trzy tysiące razy pomyślał: „Anna”.

20. Dopiero pod wieczór mógł coś zrobić. W dodatku cztery rzeczy naraz.

21. Sikał na śnieg.

22. Przyglądał się drzewu, na którym jakieś ptaki wyglądały jak przejrzałe owoce.

23. Macał koniuszkiem języka nienormalną z powodu zimna rzeźbę podniebienia.

24. I modlił się za dusze zmarłych, za które nikt więcej nie mógł się pomodlić — za Franca, Lukača, starego Bedę, francuskiego inżyniera, Ločiego, rastafarianów, ślepego zabójcę, jego dziecko, ornitologa, Stefana, Nanaszkę, posła Stefanyka, posła Łahodynskiego, malarza Trusza, malarza Perfeckiego, instruktora survivalu, Bośniaka-kapitana, podporucznika Pełenskigo, setnika Diduszkę, setnika Buksowanego, pułkownika Kołodzinskiego, generała Tarnawskiego, swoje murzynki, Seweryna, młodszego Młynarskiego, córkę papieża, Brehma, Wittgensteina, cygańskich trębaczy, Annę, Annę i Annę.

25. Na jabłoniach w dawnym ogrodzie miejskim wisiało bardzo dużo jabłek. Nikt ich nie zebrał i nikt nie zbierze. Wyciągnął z kieszeni zerwane wczoraj jabłko. Ugryzł i do ust wpadł mu długi włos Anny.

26. Kocham ją, a nie siebie, a ona jest, gdzieś zawsze jest, tak samo piękna. Dobrze gdzieś mieć kogoś. Choćby po to, by było komu opowiedzieć historię dnia, który właśnie z tego powodu warto było przeżyć.

27. Na tamtym świecie najnaturalniej czują się nie żołnierze i nie lekarze, nie budowniczowie i nie ogrodnicy, a opowiadacze historii, szeptuchy.

28. Z najwyższego drzewa spośród tych, które Sebastian zasadził w 1914 roku, zerwały się sroki i poleciały w cień Pietrosa.

29. Sebastian policzył — siedem.

30. W zeszycie ornitologa siedem — o czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć.

31. Spośród wszystkich dowodów na istnienie Boga ten można uznać za najlepszy.

Spis rzeczy

SZEŚĆDZIESIĄT OSIEM PIERWSZYCH PRZYPADKOWYCH ZDAŃ	5
CHRONOLOGICZNIE	11
LISTY DO I OD BĘDY	13
GENETYCZNIE	19
PIERWSZA STARA FOTOGRAFIA — JEDYNA NIE DATOWANA	24
FIZJOLOGICZNIE	29
CHODZIĆ, STAĆ, SIEDZIEĆ, LEŻEĆ	37
SYTUACJE Z KOLORYTEM	45
DRUGA STARA FOTOGRAFIA — ARDŻELUŻA, 1892	55
KUSZENIE ŚWIĘTEGO ANTONIEGO	59
OBFITOŚĆ DNI	86
TRZECIA STARA FOTOGRAFIA — MOŻE DO LAROUSSE'A	96
WOJNY WYOBRAŹNI — KRÓTKO	112
NIEZWYKLI	119
MÓWIĆ CZY PRZESTAĆ	125
TRZYDZIEŚCI LAT RODZINY S.	132
NIEPROZA	136
MIEJ PIĘKNY BAJ (NA PRZYKŁAD)	149
JEŚLI WEDŁUG MAPY (LEGENDA)	189
SIEDEM	190

WYDAWNICTWO CZARNE S.C.
www.czarne.com.pl

SEKRETARIAT: ul. Łukasiewicza 8, II p., 38-300 Gorlice,
tel./fax +48 18 353 58 93, e-mail: lukasz@czarne.com.pl

REDAKCJA: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa, tel./fax +48 18 351 02 78,
tel. +48 18 351 00 70, e-mail: redakcja@czarne.com.pl

DZIAŁ PROMOCJI: ul. Jaracza 6/5, 00-378 Warszawa,
tel./fax +48 22 621 10 48, e-mail: katarzyna@czarne.com.pl,
krystyna@czarne.com.pl

DZIAŁ SPRZEDAŻY: Beata Motyl, MTM Firma, ul. Zwrotnicza 6,
01-219 Warszawa, tel./fax +48 22 632 83 74, e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład komputerowy: ROBERT OLEŚ — DESIGN PLUS
31-029 Kraków, ul. Morsztynowska 4/7, tel. 012 432 08 52

Druk i oprawa: OPOLGRAF SA
48-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8/12, tel. 077 454 52 44

Wołowiec 2005
Wydanie I
Ark. wyd. 6; ark. druk. 12,5

oraz:

Nenad Veličković

KOCZOWNICY

Renata Šerelytė

IMIĘ W CIEMNOŚCI

Danilo Kiš

GROBOWIEC DLA BO
DAWIDOWICZA

Terézia Mora

WSZYSTKIE DNI

Fatos Kongoli

SKÓRA PSA

Już w księgarniach:

Renata Šerelytė

GWIAZDY EPOKI
LODOWCOWEJ

Eginald Schlattner

CZERWONE RĘKAWI

Zsuzsa Bánk

PŁYWAK

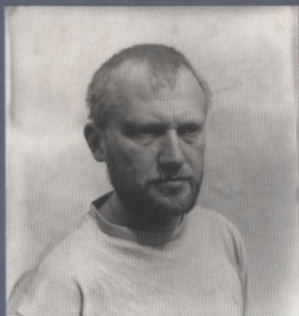
Jurij Andruchowycz

DWANAŚCIE KRĘGÓW

Serhij Żadan

BIG MAC

A15067



© by Kamil Gubala

TARAS PROCHAŚKO (19...
i pisarz, z wykształcenia botanik. Swoj talent udowodnił pierwszą książką — zbiorem opowiadań *Inne dni Anny*. *Twórczość Tarasa Prochaśki, młodego pisarza ze Stanisławowa (Iwano-Frankowska), jednego z czołowych reprezentantów słynnego 'fenomenu stanisławowskiego', należy do najbardziej interesujących zjawisk ukraińskiej literatury, powstałej w ciągu ostatniego dziesięciolecia* — pisze Jurij Andruchowycz i dodaje, że twórczość Prochaśki skupia na sobie zain-

teresowanie nie tylko krytyków, dziennikarzy i badaczy literatury, ale także wielkiej ilości tzw. 'wykształconych czytelników', smakoszy innowacji, poszukiwaczy i miłośników innego.

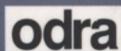
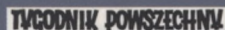
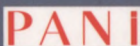
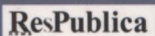
Niezwykli to mistrzowsko opisana, zanurzona w klimacie i kulturze huculskiej, dziwna historia pewnej dziwnej rodziny. Rzeczywistość miesza się z fikcją w sposób naturalny i wiarygodny; w książce pojawiają się nawet autentyczne nazwiska kilku znanych ukraińskich malarzy i pisarzy, żyjących w tamtych okolicach na początku XX w. Prochaśko znakomicie zna świat huculski i w fascynujący sposób oprowadza po nim czytelnika. O wartości powieści stanowi również świetny, rozpoznawalny po pierwszym niemal zdaniu styl Prochaśki — krótkie, zwarte i mocne zdania, będące często sentencjami. Dzięki temu opis jego mrocznego, mitycznego, a jednocześnie — paradoksalnie — rzeczywistego świata staje się tak przekonujący.

Główną zasługą autora jest stworzenie doskonałego obrazu karpackiej kosmogonii.

Ihor Bondar-Tereszczenko

Niezwykli to oszałamiający popis imaginacji. Taras Prochaśko wymyślił nową geografie, historie, fizykę, chemię, botanikę, psychologię, estetykę — wymyślił od nowa skończony, gotowy świat.

Andrzej Stasiuk



Cena 29 zł

